

Wies

TYGODNIK SPOŁECZNO-LITERACKI

Rok III

Łódź, 24 marca 1946 r.

Nr 11 (39)

STANISŁAW CIESŁAK

O przebudowę rynku rolniczego

Fragment referatu wygłoszonego na kongresie ZSCh w dn. 11 marca 1946 r. w Warszawie

1. WPLYW STRUKTURY ZAWODOWEJ

Oplacalność rolnictwa zależy w dużym stopniu od struktury zawodowej. W krajach, w których większość ludności zajmuje się rolnictwem nie ma komu sprzedawać artykułów żywnościowych, bo większość ludności ma własne, stąd cena na artykuły rolnicze, których jest dużo, musi być niska. Należy również pamiętać o tym, że w krajach o przewadze ludności rolniczej, dochód z uprawy ziemi i z hodowli dzieli się między większą liczbę osób niż w krajach uprzemysłowionych, gdzie ludność rolnicza nie stanowi większości.

Najlepszym przykładem jest tu Dania, gdzie opłacalność rolnictwa jest bardzo wysoka, a gdzie według spisu ludności w r. 1940:

w rolnictwie pracowało	28% ludności
w przemyśle i rzemiośle	33% ludności
w innych zawodach	39% ludności

W Danii na 1 rolnika przypada 3 nierolników, którzy kupują od niego artykuły żywnościowe. W Niemczech przed wojną na 1 rolnika przypadało 4 nierolników. W Polsce przed wojną 3 rolników żywiło 2 nierolników. Obecnie jednak, dzięki odzyskaniu przez Polskę wysoko uprzemysłowionych obszarów na Zachodzie, stosunek ten ulegnie w najbliższym czasie poprawie na korzyść rolnictwa. Niedalekim jest moment, gdy na 1 rolnika w Polsce przypadnie 1 nierolnik.

Pierwszym zatem warunkiem opłacalności rolnictwa w Polsce jest rozwój przemysłu, który ściąganie z przeludnionej wsi nadwyżkę ludności i stworzy większe zapotrzebowanie na artykuły rolnicze. Ofiary ponoszone przez wieś na rozbudowę przemysłu stokrotnie się opłacą w najbliższej już przyszłości.

2. PRZEJĘCIE PRZEMYSŁU ROLNEGO

Dla gospodarstwa chłopskiego nie jest sprawą obojętną, czy produkty swoje oddaje w stanie surowym, czy przerobionym, chodzi o to, aby cały zysk z przeróbki płodów rolnych pozostał w ręku rolnika, albo jego spółdzielczych organizacji. Oplacalność pracy rolnika jest większa, jeśli dostarcza miastu chleb lub co najmniej mąkę, a nie surowe ziarno. Jeśli dostarcza krochmal, płatki kartoflane lub spirytusowe a nie surowe kartofle. Inną cenę uzyskuje rolnik za słomę lnianą, inną za włókno czesane lub choćby trzepak.

Nic więc dziwnego, że Związek Samopomocy Chłopskiej, jako organizacja zawodowa rolników, w interesie rolnictwa zabiega o przejmowanie przez chłopów przemysłu rolnego, dąży do jego rozbudowy, bo przemysł rolny posiada poważne znaczenie dla podniesienia opłacalności rolnictwa. Rząd demokratyczny wychodzi na przeciw tym żądaniom mas chłopskich, dekret o przekazywaniu resztówek z 12 czerwca 1945 r. oddaje w ręce spółdzielczości chłopskiej, w ręce spółdzielczości Samopomocy Chłopskiej wszystkie resztówki ze znających się na nich przemysłem rolnym. Przejeliśmy już przeszło 200 gorzeln rolniczych, przeszło 1000 młynów, paraset piekarni, wiele olejarni, krochmalni, mleczarni, browarów i innych zakładów przemysłowych, wartości wielu miliardów złotych. Na ziemiach odzyskanych czeka na przejęcie 1250 większych młynów, 200 większych mleczarni, 1230 gorzeln rolniczych, wiele krochmalni, browarów, przetwórn owoców i warzyw.

Dekret z dnia 3 stycznia 1946 r. o upaństwowieniu przemysłu przewiduje przekazanie zrzeszeniu rolników wszystkich cukrowni, browarów, gorzeln przemysłowych, przetwórn, chłodni itp.

Przejęcie tego olbrzymiego majątku w ręce chłopów zależy z jednej strony od sprawności organizacyjnej zarządu spółdzielni, które po

chłopsku, po gospodarsku muszą się przygotować do prowadzenia tych zakładów, a z drugiej strony od naszej czujności w pilnowaniu własnych interesów. Nie jest bowiem tajemnicą, że rozkazy demokratycznego rządu nie są nieraz wykonywane przez różnych byłych obszarników, spekulantów i fabrykantów, którzy zakradli się do aparatu państwowego i szkodzą interesom mas chłopskich.

Tak, jak przełamaliśmy wszystkie opory i przeprowadziliśmy zarówno reformę rolną, jak i upaństwowienie przemysłu, tak przełamamy i te trudności, przejmujemy cały przemysł rolny w swoje ręce, bo taka jest wola rządu demokratycznego, bo taka jest wola mas chłopskich.

3. USUNIĘCIE ZBĘDNEGO POŚREDNICTWA

Jest rzeczą powszechnie wiadomą, że ceny płacone rolnikowi są o wiele niższe od tych cen, jakie za te same artykuły płaci spóżywca w mieście. Nie jest dla nikogo tajemnicą, że łańcuch pośrednictwa obecnie nie jest wcale mniejszy niż przed wojną, kiedy chłop za jajko otrzymywał 3 gr., a w mieście to jajko kosztowało 20 gr. Podobnie ma się rzecz z artykułami przemysłowymi, które wędrują z miasta do wsi przez wiele rąk i kosztują na wsi nieraz trzy i czterokrotnie tyle co w mieście. Dość wymienić przykładowo sól, która sprzedawana była w Wieliczce po 1 zł kg, a na wsi dochodziła do ceny 30 i więcej złotych. Zdaćmy sobie sprawę, że do podrożenia tych artykułów przyczynia się w znacznym stopniu brak i złe funkcjonowanie transportu, i dlatego na innym miejscu domagamy się uwzględnienia w planie inwestycyjnym w pierwszym rzędzie rozbudowy dróg kołowych, żelaznych i wodnych, ale stoimy twardo na stanowisku że zarobek pośrednika nie może przekraczać 10% wartości towaru.

Dlatego Związek Samopomocy Chłopskiej taką wagę przypisuje do rozbudowy spółdzielczości chłopskiej, spółdzielczości Samopomocy Chłopskiej, która w swoje ręce powinna wziąć wymianę towarową między wsią i miastem — bo usunięcie zbędnego i kosztownego pośrednictwa zwiększy opłacalność rolnictwa w Polsce.

Jeśli chłop masowo stanie się członkami tych spółdzielni, jeśli będą czuwać nad ich prawidłową i zgodną z interesem mas chłopskich działalnością i jeśli co najważniejsze, co wysuwamy jako czołowe hasło spółdzielcze na rok bieżący, że chłop kupuje i sprzedaje za pośrednictwem swojej Spółdzielni Samopomocy Chłopskiej — to wtedy możemy być pewni, że wszystkie zyski z pośrednictwa, jakie dziś zgarniają speculanci i szmuklerzy, pozostaną w kieszeni chłopu, a to nie są sumy bagatelne, to sumy idące w miliardy złotych.

4. ZWIĘKSZENIE PRODUKCJI ROLNEJ

Wielu ludziom i na wsi i w mieście wydaje się, że najprostszym wyjściem z ciężkiej sytuacji jest podniesienie cen żywności i zwiększenie płac w mieście. Niewne to stanowisko. Jeśli na rynku jest mało żywności, jeśli na rynku jest mało artykułów przemysłowych, to drukowanie pieniędzy i podnoszenie cen wcale tych ilości nie zwiększy, a wprowadzi tylko nieład i zamieszanie, z którego korzystają tylko speculanci. Chłop dobrze pamięta okres inflacji markowej, czy okres „młynarek” w czasie okupacji niemieckiej, kiedy posiadał dużo pieniędzy, za które mało co można było kupić.

Jeśli natomiast robotnik będzie produkował więcej, jeśli chłop zbierze więcej z pola, to wtedy można zwiększyć obieg pieniędzy, można zwiększyć płace i zarobki, bo każda nowa złotówka wypuszczona z Banku Narodowego ma pokrycie w towarze, który jest na rynku.

Musimy planować na dłuższą metę. Gospodarka światowa i wymiana międzynarodowa będzie się niewątpliwie usprawniać i myśleć o opłacalności rolnictwa musimy pamiętać i o tym, że w niektórych gałęziach rolnictwa jesteśmy bez konkurencji, w innych natomiast możemy być pobici na głowę.

To, że w Polsce najbardziej rozpowszechnione są najmniej opłacalne gałęzie rolnictwa nie jest przypadkiem. Byliśmy bowiem zależni od kapitału międzynarodowego, który dla siebie rezerwował najlepsze kaski, a nam pozostawiał najmniej zyskowne zajęcia.

Po drugie: w żadnej dziedzinie życia nie ma postępu bez specjalizacji i podziału pracy.

Specjalizacja i podział pracy pozwalają produkować więcej, szybciej i taniej. Do odległej przeszłości należą w większości państw na świecie czasy, kiedy gospodarstwo rolne produkowało wszystko co człowiekowi do życia potrzebne, kiedy rolnik musiał być jednocześnie i tkaczem, i kowalem, i kołodziejem, i zdunem, i murarzem i jednocześnie znać się na wszystkich gałęziach rolnictwa. Stoimy na stanowisku, że specjalizacja gospodarstw chłopskich jest podstawowym warunkiem ich opłacalności. Jednorodzinne gospodarstwo chłopskie, aby zapewnić właścicielowi i jego rodzinie stopę życia godną człowieka, musi być wyspecjalizowane i nastawione na najbardziej opłacalne w naszych warunkach uprawy i hodowle.

Po trzecie: Gospodarka naturalna bez specjalizacji była w warunkach przedwojennych instynktowną obroną chłopu, który nigdy nie wiedział na czym zarobi, a na czym straci i dlatego starał się mieć w swym gospodarstwie wszystkiego po trochu.

Obecnie wchodzimy w okres gospodarki planowej, gospodarki uporządkowanej. Rolnik — producent będzie pracował dla określonego rynku, będzie miał zapewnioną gość za owoce swej pracy i zapewnioną jej opłacalność.

Kontraktowanie upraw i hodowli, wypróbowane już od dawna przed wojną na odcinku buraka cukrowego, będzie niewątpliwie rozszerzone na wszystkie podstawowe gałęzie produkcji rolnej. W roku bieżącym Związek Samopomocy Chłopskiej podjął próbę kontraktowania hodowli trzody chlewnej, uprawy roślin włóknistych i oleistych.

Zastosowanie tych zasad natrafia jednak na duże opory. Państwo kontraktując np. uprawę lnu i konopi, nie docenia konieczności zapewnienia rolnikowi pełnej opłacalności jego pracy, co jest najpewniejszą rękojmią zwiększenia obszaru zasiewu i dostarczenia przemysłowi do statecznej ilości surowca. Tęgo rodzaju krótkowzroczność gospodarza, jak wykazała próba skupu surowca tytoniowego w tym roku, po cenach nieopłacalnych dla producenta, daje ujemne skutki gospodarcze.

Śluszność stanowiska rolnictwa popiera również i fakt, że wyższa, opłacalna zapłata za zakontraktowane i dostarczone ziemniaki, czy zwierzęta jest wypłacona częściowo w naturze dopiero po nowych zbiorach, po przeobrażeniu surowca i wymaga tylko skromnego zaliczkowania z bieżących, szczupłych zapasów, jakimi dysponuje przemysł państwowy.

Kontraktowanie wymaga nie tylko zaliczkowania przy umowie, ale również zaopatrzenia rolnika na kredyt w materiał: siewny, nawozy i narzędzia — jeśli chodzi o uprawę roślin, lub w materiał budowlany i paszę — jeśli chodzi o hodowlę zwierząt.

Tutaj olbrzymia rola przypada spółdzielniom Samopomocy Chłopskiej. One właśnie powinny rozprowadzać materiał siewny, nawozy, narzędzia, materiał budowlany i paszę i następnie skupować z ramienia państwa zakontraktowane artykuły rolne i poddawać je uszlachetniającej przeróbce we własnych zakładach przemysłu rolnego.

Większość kredytów inwestycyjnych i kredytów obrotowych, jakie przewidujemy, w wysokości powyżej stu milionów złotych, dla Spółdzielni Samopomocy Chłopskiej w najbliższym tylko kwartale, będzie przeznaczona na to, aby przygotować nasze spółdzielnie do skupu i zaopatrywania gospodarstw chłopskich. W ten sposób przez kontraktowanie uprawy i hodowli za pośrednictwem Spółdzielni Samopomocy Chłopskiej i przez szerzenie oświaty fachowej rolniczej za pośrednictwem Związku Samopomocy Chłopskiej spodziewamy się szybkiej specjalizacji gospodarstw chłopskich, a co za tym idzie zwiększenia ich opłacalności.

Z WYSTAWY PRAC MALARSKICH J. MIERZEJEWSKIEGO



Patrz artykuł na str. 6-ej: „Nowy realizm malarski”

ANTONI OLCHA

Wczoraj *)

Ze Wschodu na Zachód przebiega przez wieś stary gościniec podkarpacki, łączący tereny naftowe Środkowej Małopolski ze Śląskiem. Na przestrzeni około dwóch km przez luboński kraniec wioski przewija się odcinek autostrady Kraków — Zakopane. Ciemny, błyszczący matowo w jaśniejszym górskim słońcu pas asfaltu nurkuje w sosnowej i świerkowej zieleni. W czystym oramieniu drzew mienia się kolorowe widoki chłopskich sadyb, rozrzuconych wśród grzbiętów, dolin i garbów ogromnej miski babiogórsko-lubońskiej i gorzeckiej. Stąd okolica prezentuje się oczom przejezdnych najpiękniej. Ale nie tylko obcym oczom. Bywa, że w letnie niedzielne popołudnia ciągną ku wierchom Małego Lubonia gromadki kobiet, dzieci, czasami starszych chłopów. Idą zbierać grzyby, jagody i... „popatrzeć z wysoka na świat”. Albowiem nieprawdą jest, że chłopci „nie spostrzegają” piękności krajobrazu, jak to się czasem czyta w książkach.

— Jako żołnierz poznałem bogatą dziewczynę w jednej z lubelskich wiosek — opowiadał kiedyś Walenty Mirek „od gościńca”. — Lubilem ją i mogłem się z nią ożenić. Gospodarkę miała dużą, a ziemia tam tłusta i rodzi nie tak, jak nasza!... Mógłbym całe życie jeść biały chleb!...

— No to czemuście się tam nie ożenili? — Do musiałbym tam zostać na zawsze. A ja wołałem swoje trzy morgi i biedę, ale tu, w naszych górach. Taki to rozum, wiecie...

Dopóki była chociażby iskra nadziei na przeżycie w rodzinnych stronach — chłop powracał tu najczęściej. Nieraz dawno już o niejednym we wsi zapomniano, a on się zjawiał niespodzianie, przybawając z Ameryki, Francji, Niemiec lub Węgier.

Umilowanie ziemi dla jej piękna i dlatego, że to jest ziemia ojców — praociców, odgrywa niemniejszą rolę od przywiązania do niej ze względu na plony, jakie wydaje.

Musiałoby dobrze dogryźć właścicielowi kulkumorgowej biedy, nim ją opuścił, nim ruszył w daleki świat. Lub też świat ów nieznanym musiał mu się przedstawić w wyobraźni tępcami fantastycznych uroków, musiał obudzić ukrytą energię twórczą, przemożną chęć zabłyśnięcia niezwykłymi osiągnięciami...

Mało zbadane są bogate tajniki chłopskich serc i myślenia.

Mało znany jest i samym chłopom wchrowaty nurt potężnej siły pełnego życia, ograniczonej i duszonej w ciągu długich wieków, a wczoraj i dziś wydostającej się na powierzchnię, szukającej sposobnego łożyska.

— W Ameryce, — opowiadał stary Andrzej Bał, — jadłem chleb i mięso. Ale tam nie miałem takiego podsadzia, jak to, ani takiej jabłonki, żeby pod nią ucieść w niedzielę na trawie.

— Na trawie!... — oburzała się żona Bala Ulina. — W Ameryce nie ma takiej trawy, jak u nas. Jest trawa, ale inna.

Wracalo chłopstwo z dolarami, zarobionymi krwawym trudem, bohaterskim harowaniem do utraty sił. Marzyły im się gospodarstwa nowoczesne, domy przestronne i ładnie umeblowane, komory pełne.

W pierwszych miesiącach po powrocie stawiali piwo i gorzałkę sąsiadom dobrym i kłótnikom. Niechaj znają — kto to przyjechał do wsi! Kupowali dorodne krowy i konie. Budowali domy z rozmachem. Pożyczali szczerze dolary sąsiedzkiej biedzie. Aż wreszcie z przerażeniem stwierdzali, że ich dorobek był o wiele za słaby, za mizerny, by sprostać osaczającej ich zewsząd nędzy.

— Bieda jest jak rdza — przegryzie najtwardsze żelazo — mówili z rezygnacją i uciekali znowu w świat, lub poddawali niepokorne głowy w jarzmo.

Porzucali nabyty sposób życia w skromnym dostatku. Z zaciśniętymi zębami

pracowali na owianej glebie. Kosztem wielu wyrzeczeń i ofiar utrwalali te ulepszenia gospodarki, jakie w tych warunkach można było w gromadzie zaszczyć.

Jest to wieś małorolnych, średniorolnych i wyrobników. Trzysta dwadzieścia gospodarstw nie było w stanie wyżywić około dwóch tysięcy mieszkańców. To też chłopci zarabiali furmankami (przewóz towarów wozami na trasie Jordaków — Kraków, wyjazdy z kupcami na targi do miasteczek Podhala, zwózka drzewa z pańskich lasów), sezonową pracą przy budowie will w Rabce i Zakopanem, służbą w pensjonatach, wyrobnictwem w miasteczku Jordanów, wyrobem mioteł, chałupniczym przemysłem ceglarnianym. Dużą pomoc materialną stanowiła dla ludności południowa część wsi (zabudowania Naprawy rozciągają się wzdłuż drogi skawiańsko — łętowskiej na przestrzeni 5 km), gdzie było prymitywne lotnisko. Przyjeżdżali tu drobni kupcy z Krakowa, którzy płacili chłopom za mieszkania, mleko, ziemniaki i furmanki. Zarobki były małe, ale stanowiły poważną sumę w budżecie drobnego gospodarza.

Okres letni — okres malin, jagód i grzybów — dawał zajęcie setkom rąk małorolnych i bezrolnych: zbierano to, co okoliczny las urodził. Nie było to takie proste, gdyż marne chłopskie lasy, trzebione nielitościwie zimą i na przednówkach, gdy głód zaglądał w oczy, nie mogły być terenem godnym zachodu. Możliwości zarobkowe następowały jedynie wyreby i lasy obszarne na Wysokiej, na Luboniu i na łętowskich górach. A tam czuwalni gajowi, broniący gołocie dostępu do leśnych skarbów...

Kilkumorgowe gospodarstwa nie dawały takiego dochodu, żeby można było nawet skromnie wyżywić średnią rodzinę od jesieni do jesieni. Przednówki zaczynały się wcześniej. Dla wielu już w lutym, lub marcu.

W krótkim okresie lepszej ogólnej koniunktury gospodarczej, poprzedzającym wybuch ostrego kryzysu, łatwiej było uciekać latem kilkaset złotych na czarne miesiące zimowe.

Nagle to się wszystko urwało. W latach 1930 do 1939 skurczyły się dochody, większość możliwości zarobkowych zniknęła bezpowrotnie. Letnicy przyjeżdżali jeszcze do wsi, ale płacili kilkakrotnie niższe ceny za wynajem mieszkań, żyli oszczędnie, nieraz wprost biednie. Byli to przecież ludzie, których też kryzys uderzył. Wielu „starych letników” zbankrutowało i przestało odpoczywać w Naprawie. Chłopi jeli narzekać, że coraz to mniej tych „lepszych gości” odwiedza wieś, zamiast nich, ciśnie się tutaj obca bieda, przywożąca ze sobą gruźlicę, choroby weneryczne i beznadzieję.

Naprawa, oddalona jest od linii kolejowej Kraków — Zakopane tylko o dwa ki-

lometry**). Dzięki temu możliwości zarobkowe były tu zawsze nieco większe od możliwości innych gromad gminy zbiorowej Łętowni, takich jak Tokarnia, Skomielna Czarna, Bogdanówka, Więcierza. Wioski te, położone w bardziej oddalonych górskich zakątkach, utrzymywały się ze sprzedaży leśnych owoców i handlu drzewem z oddalonym o 60 km Krakowem. Ogromna liczba rodzin chłopskich oddawała zimą swoje córki na służbę do miast i małych miasteczek.

Nędzarskie przysiółki i wsie były widownią swego rodzaju handlu dziewczętami. W okresach zimowych przyjeżdżali tam ludzie, których głównym źródłem utrzymania była zapłata za dostarczenie określonej liczby chłopskich córek do służby w miastach. Przedsiębiorca taki zbierał jesienią zamówienia od swoich klientów w Rabce, Zakopanem, Jordanowie i Krakowie.

„Werbunek” odbywał się przy wódce. Rodzice dziewcząt otrzymywali zwykle pewną kwotę pieniężną za „zgodzenie córki na służbę”. Była to tzw. „kolenda”: przeważnie od 10 do 20 zł dla rodziców i barwna chusteczka, lub kilka złotych na jej zakup dla samej dziewczyny. „Kolenda” stanowiła walną pomoc w przetrzymaniu ciężkiej zimy dla biednych chłopskich rodzin. Im dana rodzina była ekonomicznie silniejsza — tym dłużej zwlekała z „godzeniem” dziewcząt w służbę. Pod wiosnę można było osiągnąć znacznie wyższą zapłatę za służbę, niż na początku zimy. Wówczas przecież klienci potrzebowali gwałtownie rąk roboczych i pośrednicy bywali mniej twardzi, nie targowali się tak bardzo. Częstość wiozszczyzny ogarniała jakiś cichy bunt przeciwko oddawaniu dziewcząt na poniewierkę.

— Nie mam dziewczki do służby — mówili chłopci z zaciętością.

— Co wy godacie, ojcie, — odpowiadał wymowni naganiacze, starając się dobierać „chłopskich” wyrażań. — Zdychać będziecie na przednówku!

W czasie okupacji Naprawa, podobnie jak inne wioski — nie poddawała głowy w jarzmo. Napozór, dla niepoznaki, chłopci uśmiechali się i udawali spokojnych. W rzeczywistości prowadzili walkę z wrogiem na wszystkich polach.

Dziwne rzeczy działy się przede wszystkim z gruntem. Kiedy szło o wyjazd na roboty do Rzeszy okazywało się, że we wsi nie ma prawie wcale bezrolnych, a wczorajsi małorolni to po prostu zamożni, pełnorolni gospodarze. Do roku 1943 gromada potrafiła zataić przed okupantem 200 ha ziemi ornej. Po wzmożeniu terrorku i specjalnych badaniach, wynikłych naskutek zorientowania się Niemców w tego rodzaju podstępach, urząd

**) W czasie wojny wybudowano przystanek we wsi Skawa, pomiędzy Jordanowem a Chabówką. Do stacji Jordanów odległość wynosi 4 km, do stacji Chabówka 8 km, do st. Rabka — Zdrój 8 km.

gromadzki „odnalazł” 50 ha, ukrywając pozostałe 150 ha do końca okupacji.

— Ile macie gruntu? — zapytywał urzędnik.

— Jo?

— A dyć wy.

— Jo mom piętnaście morgów.

— Z lasem, czy ornego?

— Piście ornego.

Bojaźliwi i ostrożniejsi podawali cyfry zbliżone do prawdy, ale za tych cyganili wroga urzędnicy gminy, synowie chłopscy, sabotujący zarządzenia władz okupacyjnych. Chodziło o to, że chciano powozić najbiedniejszych, jako element zbędny i obciążający niepotrzebnie gospodarkę ogólną. Ale kiedy łapanki nieco ustaly, a pojawiły się nakazy kontyngentowe, wtedy znowu „wielkie” gospodarstwa gwałtownie malały.

— Jo przecie godoł, że mom piętnaście morgów, ale w tych piętnastu jest ino trzy ornego, a resztom to las, doliny i mocarze. Z tego tu kontyngent dać?

Urzędnicy gminni pisali znowu, spisywali, poprawiali, uzupełniali, slali pisma „wyjaśniające”, które niczego nie wyjaśniały. Pocichu zaś robiono składki na łapówki dla przekupnych „leiterów”. Konieczność obrony przy pomocy łapownictwa sprzyjała rozszerzeniu się potajemnego gorzelnictwa. Wódka najłatwiej otwierała wszelkie możliwości bodaj częściowego wykupienia się od przeróżnych ciężarów, nakładanych przez okupanta. Wódka też przynosiła ucieczkę w zapomnieniu po szczególnie ciężkich przejściach.

Jedną z szeroko stosowanych form walki z okupantem stanowiły zastępcze wyjazdy na roboty. Niemcom szło koniec końców o liczbę wyjeżdżających. Chłopi zorientowali się w tym bardzo szybko, to też zaczęli podstawić „Arbeitsamt” ludzi, którzy już mieli wprawę w „wyjeżdżaniu na roboty”. Byli to „ochotnicy”, którzy za kilka tysięcy złotych podejmowali się „zastąpić” pozwanego do wyjazdu. Stawiali się do transportu. Wyjeżdżali. Miejscowy „leiter” „Arbeitsamtu” cieszył się, że odesłał przeznaczony kontyngent ludzi. Tymczasem wszyscy „zastępcy”, a przy tym wielu „pierwszaków”, „urywali się” z pociągu już gdzieś za Krakowem, lub nawet na terytorium Rzeszy i wracali do wsi. Przy następnej akcji wyjazdowej stawiali znowu na wezwanie, wyjeżdżali i znowu wracali. Trwało to tak długo, dopóki się Niemcy nie zorientowali, że taki to a taki wciąż ucieka i nie zaczęli go prześladować. Wówczas zawodowy „zastępca”, który częstokroć uratował od robót kilkanaście osób, uciekał w las. Ten rodzaj walki z okupantem znany był i stosowany we wsiach i miastach. W miastach, zwłaszcza w Krakowie i Warszawie, byli, jak wiadomo, w tej dziedzinie specjaliści o niedoścignionej zręczności.

Sabotaż gospodarczy, przejawiający się w najróżniejszych formach — był jednym z najbardziej typowych zjawisk. W parze z tym szła wciąż rosnąca aktywność polityczna, kulturalna i partyzancka.

Straty, poniesione przez wieś były jednakże bardzo znaczne. W tym straty gospodarcze, jedynie w inwentarzu żywym oblicza się na przeszło 100 tysięcy złotych przedwojennych.

— — — — —

W procesie kształtowania się gromadzkiej psychiki wojna odegrała rolę bardzo poważną. Zmusiła ona każdego mieszkańca wsi do aktywności. Ciągła niepewność posiadania gospodarstwa, które mogło być w każdej chwili zabrane lub puszczone z dymem, ustawiczna groźba niemieckiego rabunku i śmierci, to wszystko wytwarzało stan trwałego pogotowia, nieustannej czujności. Chcąc żyć i przeżyć, trzeba było codziennie zapobiegać różnym niebezpieczeństwom. Trzeba było także współdziałać z sąsiadami.

Naprawa, jak każda polska wieś w tym czasie, miała swoje tajemnice, które znały nawet dzieci, ale tajemnice te nie wychodziły poza obręb gromady, były pilnie strzeżone nie tylko przed obcymi, ale i przed tymi spośród swoich, których uważano za niepewnych. W ten sposób kształtowało się poczucie rodzaju zbiorowej dyscypliny i odpowiedzialności. Ze wzglę-

ROMAN BRATNY

Światu i nikomu

I gwiazdy ma upelnorolnić
Organizacja Narodów Zjednoczonych.
Nad głową ludzi świecić będą wolne,
nad ziemią z granic wywłaszczoną.

Nad bezgraniczną!
Będą gospodarzyć nad ziemią jedną — nie jedną,
wtedy gdy wszystkie Zjednoczone działobitnie
rozniesie rozhukany atom.

Wszystkie majątki ziemskie trzeba podzielić,
to chleb będzie żywny
— wtedy niby traktorem kapliczką po polach przejedzie
przydrożny dotąd Chrystus:

Tak, bo zmiany, bo teraz i poezja jest inna:
drzewa w niej nie szumią: rosną.
I inny musi być człowiek ozimy,
który po mrozach wojny patrzeć ma na wiosnę.

I świat ma być inny: jeden.
I nasza wola inna: jedna.
Dać mamy światu zjednoczonemu siebie,
ale ziem zachodnich nikomu nie dać!

*) Fragmenty z książki pt. „Nowa Naprawa”, która ukaże się wkrótce nakładem Sp. Wyd. „Czytelnik”.

du na możliwe masowe wysiedlanie, każdy chłop interesował się żywo przebiegiem wojennych wydarzeń, Rozpowszechniło się masowe czytanie gazet i książek. Przy tym jednakże potrzebny był krytyczny stosunek do tego, co się czytało.

Tak potęgowała się samodzielność myślenia.

Dla dokładnego zrozumienia dziejących się spraw, należało się zapoznać nie tylko z geograficznym położeniem danych krajów, ale również zainteresować się bliżej życiem poszczególnych narodów, ich dążeniami. To rozszerzało widnokręgi pojęciowe o świat. Brak towarów przemysłowych zmuszał do wytwarzania ich we własnym zakresie. Rozrastał się nielegalny chłopski przemysł chałupniczy. Twarde warunki życia zmuszały do zaradności. Młodzież wiejska, wylapywana masowo do robót w Niemczech, zmuszana następnie do ciężkiego wysiłku w najgorszych warunkach, uczyła się nienawiści do faszyzmu.

Dzisiaj młodzi robotnicy rolni i robotnice rolne, powracający z Niemiec, zajmują gospodarstwa na wyzwolonych ziemiach zachodnich. Cechuje ich ostra czujność wobec hitleryzmu, wobec grabieżczej niemczyzny. Ciężko zdobyte doświadczenia zużytkują teraz dla dobra ogólnego. Jest to wartościowy element chłopski, zahartowany w walce, przygotowany przez życie do pokonywania wszelkich trudności. Młodzież ta stanowi pionierski element pozbawiony sentymentalnej miękkości i chwiejności, a przyzwyczajony do rzeczowego i zdecydowanego załatwiania wszelkich spraw. Wpływ jej jest znaczny i widoczny ze względu na wielką liczbę młodych chłopców, którzy w czasie wojny odbyli przymusowe wędrówki po obcych krajach.

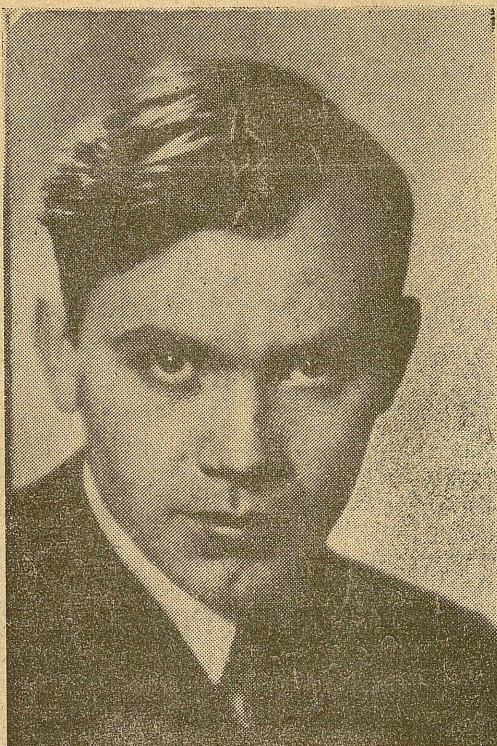
Osobno należy podkreślić ten fakt, że wojna wyostrzyła chłopskie zrozumienie spraw kulturalnych. Niszczenie przez hitlerowców książek szkolnych i bibliotek, systematyczne unicestwianie szkolnictwa polskiego, tępienie wszystkiego co polskie — rozplomiło w duszach chłopskich narodowy instynkt samozachowawczy. Chłop podjął walkę o kulturę. Gdzie mógł — ratował książki przed zniszczeniem. Naprawa i okoliczne wsie stały się ośrodkiem tajnego nauczania. W Naprawie brały udział w tej pracy miejscowe nauczycielki: Dańkowska-Walasowa, Kulkowa, Łazarska.

Gromady zbliżyły się do nauczycielstwa szkół powszechnych, średnich, a także wyższych. Nastąpiło życie się i silniejsze zrozumienie wzajemne. Chłop poczuł się realną siłą kulturotwórczą a zarazem i obrońcą polskich dóbr kulturalnych, bojującym o przyszłość postępu. Tego poczucia nikt mu już nie odbierze. To, co w tej dziedzinie kielkowało dopiero w okresie przedwrześniowym, rozrosło się w latach okupacji w ukryciu, w zacieniu słomianych strzech, a teraz rozwija się coraz bujniej, coraz potężniej. W okresie wojny utwierdziło się w chłopie polskim poczucie głębokiej odpowiedzialności za państwo, za naród. Broniąc zaciekle swojego stanu posiadania, chłop nasz wiedział dobrze, iż broni tu żywej części Polski. Ciężkie doświadczenia nauczyły go, że niczym jest jego osobiste dobro, gdy jego kraj i jego społeczeństwo ugina się pod nawałem klęsk. Żadna z wojen nie wykazała chyba tak dobitnie jak właśnie ta — jaką olbrzymią wartość przedstawia dla człowieka życie w swoim społeczeństwie, w swojej ojczyźnie, w swoim wolnym i niepodległym państwie. To też masy chłopskie nie żałowały krwi dla Polski. Szałowały nią hojnie w partyzantce i później w szeregach Wojska Polskiego.

Zacięta, wieloletnia zbrojna walka z wrogiem stanowi osobny, bogaty rozdział w życiu Naprawy i okolicy. Bohaterstwo i zręczność tutejszej młodzieży, skupionej w patriotycznych organizacjach bojowych, zasługuje na osobne omówienie. Dla podkreślenia tego jeszcze jednego charakterystycznego rysu, należy tu powiedzieć, że na kilka miesięcy przed styczniową ofensywą Armii Czerwonej, niemal każdy chłop brał udział w walce. Z nadejściem wieczoru Naprawa stawała się wolną republiką, w której rozbrzmiewał polski śpiew, dudniły miarowe kroki partyzanckich oddziałów. Zwykle nad ranem w pobliskiej dolinie Skawy wylatywał w powietrze most, lub pociąg z niemieckim materiałem zaopatrzeniowym dla frontu.

Antoni Olcha

STANISŁAW PIĘTAK



Podczas pogromu

O, domie, domie splądrowany!
Mej matki siwy włos skalany
ostatnim mirtiem w oknie płacze.
Jaskółki mrą od kul siepaczy.

Wśród skrętów ognia puchną orgie.
Gdzież tu lęk ukryć matki drogiej.
Rannego kotka zmierzch już grzebie,
lecz nie nam lż dziś błdzić w niebie.

O, domie, domie splądrowany,
twarz tulę do twej białej ściany.
Łuna, jak potwór, pełnie ścierniem.
Noc, noc, wołanie. Świerszczy ciernie...

1943

Na Wigilię 1945 roku

Wejść lekkim jak szept promienia krokiem
Zdziwić, ach, ojców oczy splakane.
Czas zagląda do szyb srebrnym mrokiem...
O, matko, niech dotknę twojej rany!...

— Zdrowy jesteś? Jak w Łodzi? — będziecie
pytać, a ja z wzrokiem w blask otwartym
iść będę i na cieniów zakręcie
lżę, gwiazdę złożę na polu martwym...

Wygnali mnie z domu źli ludzie,
dlatego w jęku nocą się budzę.

Przechadzka z ukochaną

Powiedziałbym ci, że jestem zakochany,
ale śmieję się z tego lip wonne ściany.
„Jakże to, on przecież kłęczy co wieczora
i gwiazd wyglądać idzie do jeziora.
Ech, lepiej z księżycem pogaworzyć na snopie,
niż marzyć miałabyś smutnie o tym chłopie...
On ci jak gołąb wyleci z pośród dłoni.
I od rozpaczycy serca nic nie obroni!”

To wszystko prawda, co mówią o mnie
ludzie, moja droga,
lecz stanij. Ucałuj twój cień w zbożu,
zblednie ma trwoga.

W dzienniku

Zatrąły serce mi marzenia.
Niebem wirujący kwiatu pył
niósł oczy dziewcząt, ich nucia.
Wierzby kłęzczyły w blasku, co śnił.
W rzece czarnej kryły się ptaki,
w śpiew chyląc cichy srebrne krzaki.

żyć nie umiałem bez chwil czaru.
Promieniem zaświecałem kłosa
żyta i z gwiazd różowych paru
szum słałem mojej Milej w włosy.
Myśl moja rosła w chłodnym pięknie,
w przyszłość szła coraz nieuleklej...

Tak było, a dziś schylony
ze skrzepem zwątpień w mózgu, niemal
z grozą, nie czekam już stęskniony
na rzeczy, na zjawiska. Nie ma
młodości mojej, dni marzenia.
Są echa, zmięte od cierpienia.

Nowe wiersze

Opowieść

To był dla mnie czas trudny, z okrucieństwa piętnem.
Front znowu stanął. Widziałem nienawiść, zbrodnię
wśród ludzi bliskich. Aby nie zginać, udawałem śmiech
grałem głupca, czoło chronilem o przygodną
twarz, która cieniem krzyczała potem, gdy śnił.

Rozpacz... O, dni rozpacz! Szedłem na brzeg Wisły
i wodzie, zziębłym ptakom spowiadałem swój żar.
— Nie możliwe, by mord był tym czynem, co zbawia —
mówiłem i ze słów tworzyłem, ratując siebie,
krajobrazy spokojne, zdarzenia łaskawsze.

Może i zasłynie ten naiwny, polny świat.
Wiersze świecą dziś westchnieniem pszczoł, pyłem, gwiazd lżę...

Po drodze do domu

I

Znów stanąłem w uliczce smukłej, patrzę w cienie.
Tu dąb o rosę prosi gwiazdę, rośnie w noc
cichą. Nasz dom unosi blask, szum i milczenie.
Usycha złoty księżyc tam, gdzie chwije się kłosa
w dali tak czyste, że usłyszeć można westchnienie
muszki śpiącej, ruszony powietrzem wierzby włos.
Na łące odbiło niebo czajki lot, nutę.
Poszedłem w blask, szkoda, że nogi mam obute.

II

Brzóz żaglem na tratwie wieś płynęła w siny mrok.
To tylko was w domu nie cieszyły te ciche.
W okno wybiegał ojca i matki czujny wzrok.
Komuś się śniło już, że w drzwiach u belki wiszę —
i wszyscy czuli u szyb tętniący Niemców krok...

O, ojcze, matko, darujcie mi — ledwie piszę,
wspominając ten czas. Tak, byłem zakochany,
oczko bratka całowałem u cieniów bramy.

Postój w nieznanej wiosce

Możem chciał to kiedyś opisać, może byłem
w tych krajach w dzieciństwie. O, jak dziwiła te noce —
jadę kołami siwymi i u wierz w tak miłym
powietrzu staję. Pola kulą się w pomroce
błękitnej. Od kapliczki wieją rzeźne śpiewy
i zaraz domy schodzą w jasną, złotą wodę,
a kwiaty drgają i ku niebu ronią mowy.

Myślę, patrząc w kłosa zmienione, że za brodem
znajdę szczęście, trzeba tylko, zatrzymać konie,
pożyć z ludźmi w tej wsi, poznać ich ciche dzieje...
Z dziewczyną, która wyniesie chleb, pójść na błonie.
Ptak sfrunie jej na ramię, ona się zaśmieje...

Rozweselę oczy starców gawędą jeszcze,
z dziećmi nazywać będę kwiaty, które giną.
Sobie samemu nocą poezję obwieszczę —
i tak dni pod błękitem ciemnym moje miną...

Ogród

I

Kiedy tak śpię w cieniu błękitnym słonecznika,
czuję, że jest szczęśliwy i blask mnie przenika
śpiewu od pól. — Tam kobiety u żyta gwarzą.
Podaliby bożą krówkę złotej wycze twarz,
ale naraz, wysoki dąb posrebrzon kurzem
schylił się i mówi: — Był spisek, zgasną róże...

II

Nad każdym kwiatkiem ziemniaczanym błysła pszczoła
i ja w tej chwili myśli przepomniałem zgola.
Moja siostrzenica z floksów, bratków i pali
stawia dom z przyjaciółmi oto. Ach, plakali
ojce mrówek tam przy rozbitym okopisku,
bo lęk poruszył lilie w skrach schylone nisko.

III

— Dramat się dzieć zaczyna — szepce — i uciekłem
Teraz jednak nagle chłopca z wejrzeniem spiekłym
ujrzałem. Modląc się, kłękał on u promieni
i wodę z rzeki dla roślin swych nosił dłońmi.
Ten widok smutny przejął mnie znięcka bólem.
Zbudziłem się, jakbym dostał śmiertelną kulę.

IV

— Nie różnię się od dzieci — mówiłem zgnębiony.
W czerwcową noc po fali iść w podgwiezdne stro
usiłowałem. Ach, lub doświadczać marzenia,
odłączyć się w blasku chciałem od swego cienia.
Na młyn się piałem, by dojrzeć, czy za wzgórzami
dzień nie nawiedza świata złotymi burzami?

V

— Czy nie dzięki tamtym dniom śmierci się dziś boję? —
pomyślałem wolno. Drżały w skrach ręce moje.

CZESŁAW JASTRZĘBIEC-KOZŁOWSKI

Śpiewna dusza ludu

część pierwsza —

W programie jugosłowiańskich szkół powszechnych i średnich — powiada prof. Gesemann — pieśń ludowa, zwłaszcza epiczna, odgrywa o wiele większą rolę formalną i etyczno-pedagogiczną, aniżeli w szkołach innych krajów. Wiąże się to z tym, że cała ludność jugosłowiańska, zarówno sfery wykształcone jak i niewykształcone, utrzymuje z pieśnią ludową stosunki bliższe niż którykolwiek naród Europy. Dzieje się to dlatego, że Jugosłowianie wciąż jeszcze trwają w ścisłym kontakcie z duchem wspólnoty. W odróżnieniu od większości narodów europejskich Serbowie i Chorwaci są bardziej świadomi swych etnicznych i rasowych odrębności, które ich dzielą od innych, nawet pokrewnych, narodów słowiańskich. Świadomość rasowa i całkiem zrozumiała duma z antropologicznych i charakterologicznych zalet swego narodu — należą do cech narodowych u Serbów i Chorwatów. Cechy te stanowią dziedzictwo patriarchalnego, rodowego, chętnie się swą krwią wspólnoty, ustroju społecznego. Właśnie pieśń ludowa sprawiła, że Jugosłowianie, po czterech wiekach panowania tureckiego i izolacji od Europy, z powrotem weszli do europejskiej wspólnoty kulturalnej, zostali przyjęci do literatury światowej, i przez to zrehabilitowali się kulturalnie.

Jednocześnie z powtórnym odkryciem Homera i Nibelungów, stały się i serbo-chorwackie pieśni ludowe przedmiotem niemieckiego zainteresowania naukowego i artystycznego. Słofice Homera przyswiewało również i tym pieśniom; i wielu ludzi odczuwających ich czar, porównywało je z poezją homerycką. Może się to wydać przesadą, lecz upieram się przy tym, że mógłbym z serbsko-chorwackiej liryki i epiki ludowej wypisać kilkadziesiąt miejsc, należących do najpiękniejszych kart, jakimi literatura światowa może się poszczycić. Toteż taka poezja ludowa, która do swych czytelników, wielbicieli i tłumaczy zalicza tej miary nazwiska jak Herder, Goethe, Jakub Grimm, Ranke, Mérimé, Mickiewicz, Puszkina... musi i w życiu duchowym danego narodu grać o wiele większą rolę, niż poezja ludowa innych narodów, która nie zdołała zainteresować największych duchów Europy. Poznajmy serbsko-chorwacką poezję ludową, poznajmy nie tylko duszę wysoce interesującego, oryginalnego i ważnego pod względem politycznym narodu, nie tylko wnikamy w duszę przebogatego w piękno natury terenu turystycznego, lecz poznajmy również doniosły rozdział z literatury światowej.

I.

Jednym z najważniejszych wątków jugosłowiańskiej epiki ludowej jest kłeska na Kosowym Polu w roku 1389 — kłeska, która na długie wieki położyła kres samodzielnemu państwowemu bytowi naszych pobratymców. Jest to dramat (że znów zacytujemy Gesemanna) jedyny w swoim rodzaju w dziejach świata i w literaturze światowej, godny, jak żaden inny, Homera i Szekspira, tak pełen tragicznych następstw, że różni pisarze próbowali, z mniejszą lub większą zręcznością artystyczną, stworzyć z tych cegiełek ludowych wielki, zbiorowy epos książkowy. Żelaznym krokiem maszerują wyroki dziejowe przez tę wstrząsającą poezję, ale to, co w niej jest najbardziej wzruszające, najdelikatniejsze, najbardziej uduchowione — to wynaleźli sami śpiewacy i poeci epiczni z ludu. Oni to każą ostatnim dalekim echem zgłębku bitewnego odezwać się w duszy wdów i sierot. Czynią tak, jak czyni tylko wielki twórca po-

wieści historycznych, który przedstawia wielkie wydarzenia polityczne i dziejowe nie bezpośrednio, lecz śledzi wzrokiem jedynie chmurny cień, jakie te wydarzenia rzucają na ziemię i na ludzi. Pokazuje nam, jak serca tych, którzy pozostali w domu, przeżywają bitwę i klęskę. A zatem przedstawia wydarzenia pośrednio i dzięki temu w przejrzystym uduchowieniu, Pieśni epickie tego cyklu opowiadają o tym, jak pewien pastuszek znalazł uciętą głowę księcia Łazarza, podniesionego do godności męczennika za naród i wiarę, i jak tę głowę potem pochowano. Opowiadają o prawzorze serbskich pielęgniarzek: o narzeczonej z Kosowa, która z posiłkiem spieszy na pole bitwy, aby odszukać narzeczonego. Autor jednej z tych pieśni posyła matkę dziewczęciu Jugowiciów na pobojowisko, gdzie odnajduje poległych synów i męża, wraca do dziewczęciu wdów i sierot, aż wreszcie to twarde serce matki bohaterów pęka:

ŚMIERĆ MATKI JUGOWICIÓW

Miły Boże, co za wielkie dziwy!
Na Kosowie wojsko się gromadzi:
Jugowiciów w wojsku tym — dziewczęciu,
a sam stary Bogdan Jug — dziesiąty.
Boga prosi matka Jugowiciów:
„Daj mi, Boże, wzrok sokoła ostry
i łabędzia daj mi białe skrzydła,
bym, nad równe wzniesiony się Kosowo,
Jugowiciów widziała dziewczęciu
i Bogdana Jugu — dziesiątego”.
Tak błagała, tak też ubłagała:
dał jej Pan Bóg wzrok sokoła ostry
i łabędzia dał jej białe skrzydła.
Poleciała nad Kosowo równe;
Jugowiciów widzi dziewczęciu trupów
i dziesiąty — starego Bogdana,
a nad nimi — dziewięć spis bojowych,
a na spisach tych — sokołów dziewięć,
dziewięć rączych koni przy sokołach,
zasię dziewięć srogich lwów przy koniach.
Hej, zarząło dziewięć koni rączych,
zaszczekało dziewięć lwów tych srogich
i sokołów dziewięć zakwiliło.
I stwardniało wtedy serce matki:
łzom ze serca płynąć nie dopuszcza,
jeno zdzierła dziewięć koni rączych,
dziewięć srogich lwów na smyczy wiedzie,
zdjęła dziewięć z owych spis sokołów
i do zamku wraca się białego.
Zobaczyły ją synowie białe
i wychodzą panią świekrę witać.
Jęło dziewięć młodych wdów zawodzić,
zapłakało dziatek dziewięćcioro
i zarząło dziewięć koni rączych,
zaszczekało dziewięć lwów tych srogich
i sokołów dziewięć zakwiliło.
Lecz znów twarde było serce matki:
łzom ze serca płynąć nie dopuszcza.
A tu nagle w nocy, o północy,
zarzy w stajni siwy koń Damiana.
Pyta matka żonkę Damianową:
„Damianowo, miła ma synowo!
Czemu siwek zarzął nam Damiana?
Zali białej on pszenicy głodny,
czy spragniony wody ze Zweczana?”
Damianowa rzecze na to żonka:
„Oj, świekruniu, matulu Damiana!
Ani białej on pszenicy głodny,
ani pragnie wody ze Zweczana,
jeno Damian zdawna go zaprawił
do północy chrupać chrupki owies,
od północy zaś przebiegać drogi —
więc za panem trapi go tęsknota,

który z pola do dom z nim nie wrócił”.
Lecz znów twarde było serce matki:
łzom ze serca płynąć nie dopuszcza.
A nazajutrz, kiedy dzień zaświtał,
leca czarne kruki dwa smętne;
aż do barków mają skrzydła we krwi,
dzioby śnieżna piana im pokrywa.
Niosą w dziobach dłoń witezia białą;
łśni na palcu pierścień pozłaczany.
Dłoń rzucają matce na podótek;
wzięła rękę matka Jugowiciów,
obracała, pilnie oglądała,
wreszcie żonę wzywa Damianową:
„Damianowo, miła ma synowo!
może poznasz, czyja to jest ręka?”
Damianowa rzecze na to żonka:
„Oj, świekruniu, matulu Damiana!
to Damiana naszego jest ręka,
bo poznaję, matko, tę obrączkę,
com przy ślubie miała ją na palcu”.
Znowu wzięła matka rękę syna,
obracała, pilnie oglądała,
wkońcu mówi tak do ręki cicho:
„Moja dłoń, jabłko mej jabłoni!
gdzieś ty rośło, gdzie cię zaś zerwano?
Rostoś, jabłko, w smutnym łonie moim,
a zerwano — na Kosowie równym”.
A to rzekłszy, tak się zasmuciła,
że jej żywe serce pękło z żalu
za dziewczęciu, za Jugowiciami,
i dziesiątym starym Jug-Bogdanem.

II.

Serbsko-chorwackie eposy ludowe dzielą się podług bohaterów i podług wydarzeń historycznych — lub pseudohistorycznych — które stanowią ich oś, na pewne określone kręgi epickie czyli tak zwane cykle. — Pierwszy tradycyjny cykl, cykl pieśni niehistorycznych, zawiera opowieści najrozmaitszego gatunku: częściowo wierszowane baśnie i podania. Wiele z tych pieśni gęślarze istotnie śpiewali, przygrywając sobie na gęśli, podczas uroczystości cerkiewnych albo podczas tak zwanej „slawy” — święta patrona domowego. Do tej grupy należą wzruszające legendy o diakonie Stevanie i o świętym Mikołaju. Poza tym cykl ten zawiera opowiadania o podziale mocy niebieskich i ziemskich wśród poszczególnych świętych, o katastrofach żywiołowych, jakie ci władcy niebios zsyłają na grzeszącą ludność, o karach jakie cierpią grzesznicy w ogniu piekielnym, o tym jak ludzie obrażają świętych patronów i jak za to pokutują, o niegodnym zachowaniu się na świecie „slawy”, o znajdzie-Simeonie, o walce świętego Jana z cieniem ciemności, który występuje tu w podaniowej postaci cesarza rzymskiego Dioklecjana itp. Opowiadają dalej o walkach z olbrzymami i ze smokiem ognistym, o narzeczonim-wężu, o strzygach-sobowótach. Inne z tych pieśni zbliżają się już do rodzaju bohaterskiego: poruszają prastary indoeuropejski motyw pojedynków pomiędzy krewnymi, którzy się wzajemnie nie poznali. Taka jest między innymi piękna pieśń

O PREDRAGU I NENADZIE

Żywi matka dwu synów maleńkich
w czasie lutym, w srogich latach głodu,
nic nie mając, prócz rąk i przesiłcy.
Piękne obu nadała imiona:
jeden Predrag, drugi zwie się Nenad.
Predrag podrośł, że mógł dosiąść konia,
dosiąść konia i dzidę uchwycić;
za czym umknął matce swojej starej,
do zbójników przystał w ciemnym lesie.
Matka sama została z Nenadem,

Nenad brata swego ani poznał.
Podrośł matce, że mógł dosiąść konia,
dosiąść konia i dzidę uchwycić,
za czym umknął matce swojej starej;
w las przybiega pomiędzy zbójników,
był zbójnikiem i sam przez trzy lata.
Jest junakiem mądrym i roztropnym,
w pojedynku zawsze mu się szczęści,
więc go hersztem robią towarzysze;
i hersztował im Nenad trzy lata.
Lecz, młodziutki, zateśnił do matki
i przemawia tak do towarzyszy:
„Oj — powiada — mili bracia moi!
zateśniłem ja do starej matki.
Nuże, bracia, rozdzieliły swe lupy
i wracajmy każdy do swych towarzyszy”.
Towarzysze chętnie usłuchali.
Gdy wysypie który skarby swoje,
uroczyście przysięga na brata,
że nie ukrył nic — lub na siostrzycę.
Lecz gdy przyszła kolej na Nenada,
tak przemawia do swych towarzyszy:
„Oj — powiada — mili bracia moi!
brata nie mam ani też siostrzycę,
lecz na Boga w niebie wam przysięgam:
niech mi ostra zardzewieje szabla!
niech koniowi grzywa wylenieje!
niech mi ręka uschnie, jeśli klamię,
że zdobyczy żadnej nie mam więcej”.
Skoro wszystkie rozdzielono skarby,
Nenad skoczył na dobrego konia
i do starej swojej ruszył matki.
Stara matka pięknie go przyjęła,
uraczyła słodkim poczęstunkiem.
Gdy zasiedli razem do wieczerzy,
Nenad cicho przemówił do matki:
„Oj, staruszek, matko moja droga!
gdybym oto ludzi się nie wstydził,
ani gniewu Bożego obawiał,
tobym matką swoją cię nie uznał:
czemuś brata mi nie urodziła,
ani brata, ani miłej siostry?
Kiedym dzielił łup z towarzyszami,
uroczyście każdy mi przysięgał:
ten na brata, tamten znów na siostrę.
Ja zaś matko — na siebie i oręż
i na konia dobrego pod sobą”.
Stara mu się uśmiechnęła matka:
„Dajże pokój, młodziutki Nenadzie!
urodziłam ci, owszem, braciszka,
rodzonego braciszka, Predraga,
i już miałam wczoraj wieści o nim,
że zbójnikiem jest i że przebywa
hen w zielonym lesie Garewicy
i na czele hufca stoi junak”.
Wiec młodziutki mówi do niej Nenad:
„Oj, staruszek, matko moja droga!
skrój mi, matko, całkiem nowy ubiór,
z zielonego sukna strój zielony,
ale kusy i lasowej barwy,
żeby poszedł odszukać braciszka,
żeby żrąca minęła tęsknota”.
A pocziwa stara mówi matka:
„Dajże pokój, młodziutki Nenado,
bo napróżno byś postradał życie”.
Ale matki Nenad nie usłuchał
i po własnej tylko czynił myśl:
sam wykroił sobie nowy ubiór,
z zielonego sukna strój zielony,
całkiem kusy i lasowej barwy;
potem skoczył na dobrego konia
i wyruszył, żeby szukać brata,
żeby żrąca minęła tęsknota.
Ani razu nie wydobył głosu,
ani splunął, ni na konia krzyknął;
a przybyszy pod las Garewicy,
krzyknął Nenad jako sokół siwy:
„Garewico, zielony ty lesie!

WITOLD ZALEWSKI

Marcin Kempka

Profile cienia

Chodziło o przekazanie ich niedomówionych zdań, niedokończonych gestów, a przede wszystkim o to, żeby choć na moment przedłużyć ich zerwane na zawsze kontakty z żywymi. Dlatego zespół czasopisma konspiracyjnego „Dźwigary” wprowadził, jako stałą kolumnę, wspomnienia o poległych.

Nazwano ten cykl: „PROFILE CIENIA”. Trudności techniczne, a wiemy wszyscy, jakie to one były w 43 i 44 roku, nie pozwalały na regularne wydawanie miesięcznika. Między innymi rękopisami, w skrytce redakcyjnej, czekały na druk również „Profile Cienia”. W tym czasie mnożyły się one okrutnie prędko. Często dzisiejszy autor, jutro sam stawał się tematem dla wspomnienia. Było to w trakcie szczególnie długiej, a jak się potem okazało, ostatniej już przerwy, pomiędzy ukazaniem się pisma. Redaktor dysponował większą niż zwykle ilością wspomnień.

Dziennikarz i zecer poległ w obronie drukarni, człowiek obdarzony przez Niem-

ców „kartą lojalności” (t. zw. białkintny ausweis), który był w rzeczywistości szefem polskiego kontrwywiadu, młody intelektualista, zabity w czasie akcji na jakimś hitlerowca „doczekali się” już krótkich jak pożegnanie przyjaciela wspomnień i tylko niewiadomo było, które z nich będzie najpierw drukowane. Wtedy znana była waga posyłanego między ludzi słowa, bo ktoż mógł wiedzieć, czy pozwolą nam powiedzieć następne.

O śmierci Marcina Kempki dowiedziałem się z listu od jednego z moich wielkich przyjaciół. Przekraczała ona miarę dotychczasowego doświadczenia i wiedzy polskiego inteligenta o polskim chłopie. Była bowiem świadoma i dobrowolna. W nim samym zresztą, tak jak w całym chłopim pokoleniu, do którego należał, dokonały się najdonioślejsze przeobrażenia. Pojęcia związane dotychczas z własną zagrodą, czy dworskim obejściem przekroczyły horyzont i objęły cały kraj, po któ-

rym obwozi chłopca pociąg, o którym mówi mu radio, z którym zapoznają go gazeta i książka.

Chłop polski, rozpoczynając swój udział w gospodarowaniu państwem nie stał się dłużnikiem dziejów. Nic nie dostał od nich za darmo. Jego świadomość narodowa i klasowa obudziły się wcześniej, niż reformy dały mu prawo stanowienia o losach narodu. I z tego właśnie faktu, że chłop stał się współtwórcą swych praw dzięki swej pracy i poświęceniu, a nie przez wyzysk i krzywdę, ani przez ofiarę innych grup społecznych, pochodzić będzie jego siła moralna.

Teraz wiem, że Marcin Kempka (a iluż ich jest między chłopstwem) zasługuje na epos. Wtedy napisałem „Profil Cienia”. Jest to tylko wiadomość o „stwierdzeniu i o śmierci człowieka. Ale najważniejsze w tym jest, jak on się o to uznanie swego człowieczeństwa cierpliwie z całym światem spierał.

Oddałem wspomnienie o nim „Dźwigarom”. Redaktor umieścił je w najbliższym a jak się potem okazało ostatnim numerze pisma, skazując na zapomnienie tamtych pięknych ludzi, z których jeden był Jego przyjacielem. Zrobił to ponieważ „Profile Cienia” nosiły motto:

„Można widzieć sens słowa sztuka w usiłowaniu uświadomienia ludziom ich własnej, nieznanej im wielkości”.
Malraux

MARCIN KEMPKA

Był fornałem. Jednym z tych wypracowanych, ponurych 50-cio letnich mężczyzn do których niedorośli panicz mowi — ty!

Po wojnie 1920 r. powraca do domu, to znaczy do czworaka, w którym każda izba gnieździ kilkanaście dusz. Siedzi w jednej z nich razem z żoną, która wkrótce umiera na suchoty i zastawia mu jednego syna, Janka. Pracuje sumiennie i czeka na poprawę dół, tak jak mu obiecali „przed wojną”. Pamięta przecież, że w Warszawie miastowe panie karmiły ich czekoladą, panowie obiecywali po wojnie lepszy byt, a nawet bąkali coś o własnej gospodarce. Więc Kempka czeka. Uważa, że obo wiązek swój spełnił i spełnia go wciąż w ciężkiej, twardej, fornałkiej pracy. Teraz niech pokażą ci panowie, co gadali o dobrym bycie, o sprawiedliwości, co wcisnęli karabin do ręki i poszczuli na braci mówiących podobnym językiem. A zapowiadana w Warszawie poprawa bytu nie przychodzi. Jeśli coś się zmienia to tylko na gorsze. Obniżka dniówki i obcięcie ordy-

jugosłowiańskiego

poezja bohaterska

Czy nie żywisz w swym cieniu junaka, mego brata miłego, Predraga?

Czy nie żywisz w swym cieniu junaka, co by z moim polączyl mię bratem?

Predrag siedział pod jodłą zieloną,

Predrag siedział, pił rumiane wino;

gdy usłyszał zdala głos Nenada,

tak przemawia do swych towarzyszy:

„Towarzysze, bracia moi mili!

Przy gościńcu przysiadacie na czaty,

nieznanego wyczekajcie zucha,

ni go bijcie, ni bierzcie okupu,

jeny żywem do mnie przyprowadźcie;

bo kimkolwiek jest, jest z mego rodu”.

Więc pobiegło trzydziestu młodzieńców,

po dziesięciu stanęli w trzech miejscach.

Gdy natrafił na pierwszych dziesięciu,

nikt przed niego wyjść się nie ośmielił,

wybieść przed niego, uzdę konia schwycić

lecz go z łuków jeli ostrzeliwać.

A młodzieńki mówi do nich Nenad:

„Nie strzelajcie do mnie, bracia z lasu!

Oby żal was nie trapił za bratem,

tak jak trapi mnie i brata mego

i sprowadza mnie — biednego — tutaj!”

Więc puszczili go mimo bez krzywdy. —

Gdy natrafił na trzecich dziesięciu,

ci go także jeli ostrzeliwać.

Tu młodzieńki rozniewał się Nenad,

na trzydziestu uderzył junaków:

szablą pierwszych porąbał dziesięciu,

koniem drugich dziesięciu stratował,

trzeci umknął do lasu dziesiątek —

ci do lasu, ci nad zimną wodę.

Do junaka Predraga wieść bieży:

„Żle, żeś usiadł tu, herszcie Predragu!

W gości przyszedł do ciebie gość nieznan,

towarzyszy w lesie ci wyrąbał!”

Lekko Predrag porwał się na nogi,

łuki bierze ze sobą i sąjdak

i wychodzi na czaty przy drodze

i zasiada pod jodłą zieloną

strzała z siodła wytrąca Nenada,

w niebezpieczne miejsce go ugodził,

w czule miejsce: wprost w serce junackie.

Krzyknął Nenad jako sokół siwy,

krzyczy, z bólu wijąc się na koniu:

„Och, junaku z lasu zielonego!

Niech cię, bracie, śmiercią Bóg zabije!

Niech ci, bracie, uschnie prawa ręka,

która we mnie strzałą wymierzyła!

Niechaj oko wypłynie, zuch,

którym oto celowałeś we mnie!

Niech cię trapi tęsknota za bratem,

tak jak trapi mnie i brata mego

i biednego mnie tu sprowadził

na pohybel głowie mej nieszczęsnej!”

Skoro Predrag usłyszał te słowa,

spoznał jodły zielonej tak pyta:

„Coś za jeden i z jakiego rodu?”

Na to ranny odpowie mu Nenad:

„Czemu pytasz mnie o ród, junaku?

Z mej rodziny nie dostaniesz żony.

Junak jestem, młodociany Nenad;

stara matkę mam osamotnioną

i jednego brata rodzzonego,

rodzonego braciszka, Predraga,

i ruszyłem, żeby go odszukać,

żeby żrąca minęła tęsknota —

na pohybel głowie mej nieszczęsnej!”

Skoro Predrag zrozumiał te słowa,

w jęku sąjdak upuszcza na ziemię,

do rannego przyskoczył junaka,

z konia zjął go, położył na trawie.

„Tyżeś, tyżeś to, bracie Nenadzie?

Jam jest Predrag, jam twój brat rodzony.

Czy przeboleć możesz rany swoje,

żebym podał ciemniutką koszulę

i opatrzył okładem twe rany?”

Na to ranny odpowiada Nenad:

„Tyżeś, tyżeś to, bracie rodzony?

Bogu dzięki, żem cię jeszcze ujrział

i że żrąca minęła tęsknota!

ale ran tych przeboleć nie mogę —

niech ci będzie ma krew odpuszczona”.

I skończywszy mówić, oddał ducha.

Nad nim Predrag zawodząc zawodzi:

„Och, Nenadzie, moje słonko jasne!

Wcześniej wzeszłoś mi, słoneczko moje,

i tak wcześniej zasłóś mnie, biednemu!

Mój kwiatuśku z zielonych ogrodów!

Wcześniej zakwitł mi, kwiatuśku miły,

i tak wcześniej zwiadłś mnie, biednemu!”

I zza pasa nóż wyjmuje ostry

i przebija sobie nożem serce,

pada martwy obok swego brata.

III.

Szeroko reprezentowany w poezji ludowej jest cykl pieśni o królewiczu Marku. — Historyczny królewicz Marko był synem króla Wukaszyna. Urodził się około roku 1335. Był poślennym cara Urosa w Dubrowniku. Ożenił się z Heleną, córką wojewody Hlapena, z którą nie żył w zgodzie. Po śmierci ojca zasiadł na tronie, ale sąsiedni książęta serbscy ograbili go z wielkiej części ojcowizny. Uznał nad sobą władzę sułtana, jako lennik. W charakterze wasala tureckiego, brał udział w wyprawie przeciwko wojewodzie wołoskiemu Mirczy, poległ pod Rowinami, w 1395. — W poezji ludowej jest symbolem bohaterstwa, szlachetności i dobroci serca, chociaż nie brał udziału w bitwie na polu Kosowem. Grób królewicza Marka znajdował się podobno w klasztorze Marka na południe od Skoplja, jeszcze w roku 1878. Dziś niema śladu tego grobu. — Koń królewicza Marka, Srokacz, jest to koń dziwny, sprawny, krepki, szybki, wściekły (wszystkie te epitety stały się o nim powtarzają). Rozumie mowę ludzką, odpowiada jak człowiek; umie nawet po tureku. Pije dużo, nie mniej od swego pana. Przepływał Dunaj, dopędził lejącą wilę itd. Oto pieśń

O ŚMIERCI KRÓLEWICZA MARKA

Wcześniej rano wstał królewicz Marko,
wstał w niedzielę przed świtem i jechał
ponad morze, pod Urwinę-górę.
Kiedy stanął Marko pod Urwiną,
jego Srokacz zaczął się potykać,
i potykać i lzy zaczął ronić.
To Markowi bardzo przykre było,
więc przemówił Marko do Srokacza:
„Hej, Srokaczu, miły mój koniku!
Oto mija 160 lat,
odkąd my się znamy, mój Srokaczu;
jeszcze nigdy mi się nie potknąłeś,
dziś dopiero jafes się potykać,
i potykać i lzy z oczu ronić.
Pan Bóg raczy wiedzieć, ale czuję,
że nie będzie z tego nic dobrego
bądź dla mojej glawy, bądź dla twojej”.

Gdy przemówił tak królewicz Marko,

woła wiła spod Urwiny-góry,

przywołuje Marka królewicza:

„Pobratymcze, Marku królewiczu!

czy wiesz, bracie, czemu koń się potknął?

opłakuje cię, pana swego,

bo niedługo już się rozstaniecie”.

Odpowiada na to Marko wile:

„Wilo biała, bodajś chrypkę miała!

Jakże mam się rozstać ze Srokaczem,

kiedym zjechał miasta i krainy

ode wschodu do zachodu słońca?

Nad Srokacza lepszych koni niema,

ni lepszego niżli ja junaka!

Ani myślę rozstać się z Srokaczem,

dokąd głowę noszę ja na karku”.

Lecz mu wiła biała odpowiada:

„Pobratymcze, Marku królewiczu!

Nikt Srokacza tobie nie zabierze,

ani możesz polec, bracie Marku,

z rąk junaka, ni od szabli ostrej,

ni od włóczni, ni od buzdyganu.

Żaden junak ziemski ci nie groźny,

ale umrzeć masz, nieszczęsny Marku,

z rąk Boga, z rąk starego kata.

Jeśli nie chcesz dać mój słowom wiary,

to gdy będziesz na tej górze szczycie,

poprzez prawe ramię spojrz na lewo,

a zobaczysz dwie wysmukłe jodły,

co nad całą puszcza wystreliły.

zielonymi liśćmi się okryły,

między nimi jest krynica-woda.

Tam zatrzymaj, bracie, Srokacza,

spiesz się z konia, przywiąż go u jodły,

nad kryniczną wodę sam się pochyl —

twarz swą ujrzyś w tej krynicznej wodzie,

i zobaczysz, kiedym śmierć piśana”.

Więc usłuchał Marko rady wily.

Kiedy stanął na tej górze szczycie,

poprzez prawe ramię spojrz na lewo

i zobaczył dwie wysmukłe jodły,

co nad całą puszcza wystreliły,

zielonymi liśćmi się okryły.

Tu zatrzymał Marko bieg Srokacza,

zsiadł z konia, u jodły przywiązał,

nad kryniczną wodę się nachylił,

twarz swą ujrzał w tej krynicznej wodzie.

Gdy zaś Marko swoją twarz zobaczył,

widział Marko, kiedym umrzeć musi,

więc przelewał lzy i tak przemawiał:

„Piękny kwiecie, o fałszywy świecie!

Piękny byleś, a jam żył za krótko!

Hej, za krótko: tylko trzysta latek!

Przyszło pora, żebyś świat opuścił”.

Wydobywa więc królewicz Marko,

Wydobywa ostrą szablę z pochwy,

przystępuje do Srokacza-konia,

uciał szablą głowę Srokaczowi.

by koń jego nie wpadł w ręce Turków,

by nie służył jego Srokacz Turkom,

by nie woził dla nich dzbanu z wodą.

A gdy zabił Marko konia swego,

to pogrzebał tam Srokacza-konia —

pięknie grzebał, niż Andrzeja-brata.

Ostrą szablę przelewał na czworo,

by się szablą Turkom nie dostała,

by się szablą Turcy nie chlubil,

że od Marka w spadku ją dostali.

by chrześcijanie Marka nie przekleli.

A złamawszy Marko ostrą szablę,

włócznię swoją zlamął na siedmioro

i rozrucił po gałęziach jodeł.

Ujął Marko pierzasty buzdygan,

prawą ręką ujął go w połowie,

potem rzucił go z Urwiny-góry

do sinego morza głębokiego

i przemówił tak do buzdyganu:

„Kiedy z morza wyjdzie mój buzdygan,

drugi taki junak niech powstanie!”

Gdy królewicz Marko broń swą zniszczył,

wydobywa pióro z poza pasa,

a z kieszeni papier gładziuteński,

taki pisze list królewicz Marko:

„Kto bądź przyjdzie na Urwinę-górę

między jodły, nad kryniczną wodę,

i zastanie tam junaka Marka,

niech się dowie, że nie żyje Marko.

Ma zaś Marko troje trzósów skarbow:

jakich skarbow? Żółte to dukaty.

Jeden z trzósów ja mu darowuję,

że pogrzebie godnie moje ciało;

drugi z trzósów niech przypadnie cerkwiom,

trzeci z trzósów — ślepym i ułomnym:

niewidomi niech po świecie chodzą,

niech śpiewają, Marka wspominają”.

Gdy napisał Marko list ozdobnie,

pismo rzucił na jodłową gałąź,

by widoczne było pismo z drogi;

złote pióro swe do studni wrzucił,

zjął zieloną delię Marko z siebie,

pod jodłami ją na trawie kładzie,

siadł na deli, krzyżem się przeżegnał,

oczy przykrył sobolím kołpakiem,

już nie powstał, gdy się tam położył.

Martwy leżał Marko przy krynicy

cały tydzień jeden dzień po drugim.

Kto bądź kolwiek szedł szeroką drogą

i zobaczył Marka królewicza,

każdy myślał, że śpi sobie Marko —

więc omija miejsce to zdaleka,

bo się boi, żeby go nie zbudzić.

Gdzie jest szczęście, tam nieszczęście bywa,

gdzie nieszczęście jest, tam jest nieszczęście;

pokierował dobry los w to miejsce

z Góry Świętej mnicha Wasylego,

z białej cerkwi, z cerkwi Hilandaru,

wraz z diakonem jego Izajaszem.

Kiedy Wasyl-mnich zobaczył Marka,

na diakona prawą ręką macha:

„Ciszej, synu, byś go nie obudził,

bo zły bywa Marko z przebudzenia

i nas obu łatwo zabić może”.

Patrząc Wasyl na śpiącego Marka,

ujrzał nad nim pismo na gałęzi,

stanął przed nim, pismo odczytywał;

pismo głosi, że nie żyje Marko.

Wtedy z konia spieszył się na ziemię,

za ramiona jął potrząsać Marka,

ale Marko dawno ducha oddał.

Więc lży przelał proihumen Wasyl,

Marka bowiem bardzo żał mu było;

odpasuje mu trzy trzosi skarbow,

odpasuje, sobie przypasuje,

myśląc myśli proihumen Wasyl,

gdzie martwego ma pogrzebać Marka;

myśląc myśli, wkońcu tak umyślił:

bierze Marka na swojego konia,

na brzeg morski zawiózł go na koniu,

z martwym Markiem wsiada na galere,

wprost do Góry Świętej go zawozi;

wylądował pod Hilandar-cerkwią,

zaniósł Marka do Hilandar-cerkwi,

czytał nad nim modły za umarłych,

ZYGMUNT KAŁUŻYŃSKI

Nowy realizm malarski

Wystawa prac J. Mierzejewskiego w Łodzi

PARE SŁÓW WSTĘPU

Artykuł w tygodniku „Wies”, poświęcony twórczości młodego malarza, który wystąpił na wystawie zorganizowanej w dużym mieście, wydaje się tak niezwykle w naszym chłopskim piśmie, — i rzeczywiście, jest to pierwsza recenzja plastyczna, drukowana na przestrzeni 20 miesięcy istnienia tygodnika, — że koniecznym się wydaje poprzedzić tę próbę wprowadzenia nowego tematu na łamy pisma obszerniejszym i specjalnym wstępem; niech służy on za uzasadnienie, czemu na tym oto miejscu znalazła się rozprawka o malarskiej wystawie, i czego spodziewa się redakcja nasza, decydując się przedstawić czytelnikom tych kilka reprodukcji.

Recenzja z wystawy, krytyka plastyczna, artykuł o malarstwie wydaje się bowiem ostatnim z tematów, jakim mogłoby się zająć pismo chłopskie, choćby społeczno-literackie. W hierarchii osiągnięć, jakie musi sobie zdobyć już nie tylko chłopski samouk, działacz czy nauczyciel, ale nawet poeta, literat, dziennikarz ludowy, — wykształcenie plastyczne stoi na miejscu ostatnim, tak odległe się wydaje od palących problemów społecznych, kulturalnych, pedagogicznych, które wszystkie od razu wyłaniają się przed podnoszącą się klasą. Oczywiście, słyszeliśmy nieraz i widzieliśmy w programach Instytutów Ludowych i w projektach Wydziałów Kultury ów przedmiot — sztuki plastyczne — jako dyscyplinę, do której pełne prawo ma nowy chłopski odbiorca kulturalny, sposobujący się do przejęcia całego bez wyjątków dziedzictwa cywilizacyjnego swego narodu. Z reguły wypowiada się w tych planach jednym tchem: literatura — teatr — muzyka — malarstwo, ale o ile tamte trzy dziedziny nie mogą się uskarżać na zaniedbanie, o tyle ostatnia jest doczepką wypowiadaną automatycznie, głosowym dezyderatem, sakramentalnym uzupełnieniem formuły; spełnia raczej rolę ukazania perspektywy przyszłości, niż rzeczywistego programu na bliskie dni.

TRADYCYJNA ROLA MALARSTWA

Dzieje się tak z dwóch powodów: po pierwsze, do sztuk plastycznych przylgnęła opinia o ich małej lub zgola żadnej społecznej przydatności. Szczególnie w dzisiejszej atmosferze przemian i kataklizmów historycznych musi się wydawać malarz, zamknięty w swej pracowni przed stalugami z pedzelkiem w ręku — osobą najzupełniej prywatną, a praca jego, w najlepszym razie, może się przyczynić do „kształcenia estetycznego smaku i upiększania życia codziennego”, co przecie w tragicznej naszej epoce nie może być uważane za funkcję zasadniczą. Po drugie, zainteresowanie sztukami plastycznymi jest typowe dla klasy stojącej na wysokim szczeblu wyrafionowania; „Salon”, „recenzja malarska”, — to określenia znane li-tylko w bardzo elitarnym życiu kulturalnym; pisze z niechęcią jeden z autorów „Pamiętników chłopów”: „Te panie i panowie, zajęte rasowymi pieskami, wyścigami konnymi i wystawami obrazów...”. Nie więc dziwne, że gdy recenzja malarska ze stronic wytwornych magazynów dla paru górnych tysięcy przechodzi na karty chłopskiego tygodnika, bodajże po raz pierwszy w ubogich dziejach prasy ludowej, tak bardzo wciąż prowincjonalnej, — że możemy to uważać w gronie naszym za małą uroczystość...

NOWA RECENZJA

Ale nie będzie ta nowa recenzja wychwytywaniem estetycznych ciekawostek, czy prywatnym wychwalaniem lub ganiem osoby malarza, — jak bywało niekiedy w zwyrodniałej już recenzji „artystowskiej” i mieszczańskiej. Dziś wypadnie nam zająć się tym tylko artystą, i w taki tylko sposób, — który przyniesie pomoc, wzbogacenie, oświecenie współczesnej przez nas budowanej kultury ludowej. Nie jest to rodzaj recenzji łatwy; minie zapewne wiele lat, nim wykształcą się jego zasady, nim ustalą się nowe teorie oceny, nim wyłonią się nowi krytycy. I my dzisiaj nie mamy jeszcze prawa by stwierdzać, że nowa krytyka już się narodziła. Spróbujmy przecież, jeszcze skromnymi naszymi środkami, odpowiedzieć na pytanie: czego możemy się nauczyć — właśnie my, chłopscy pisarze — patrząc na obrazy Jerzego Mierzejewskiego, wystawione w Łódzkiej galerii, i naukę tę przekazać naszym czytelnikom, którzy wszak długo jeszcze, po wsiach i prowincjach rozproszeni, będą musieli uważać wystawy obrazów za „miejskie” zdarzenia prywatne, im nie dostępne i ich nie obchodzące. — spróbujmy ich przekonać, że tak nie jest.

PODOBIENSTWO SYTUACJI MALARSTWA I LITERATURY

Jest faktem znanym z historii sztuki, że w rozwoju form artystycznych istnieje równość, tj. że zarówno muzyka, jak malarstwo

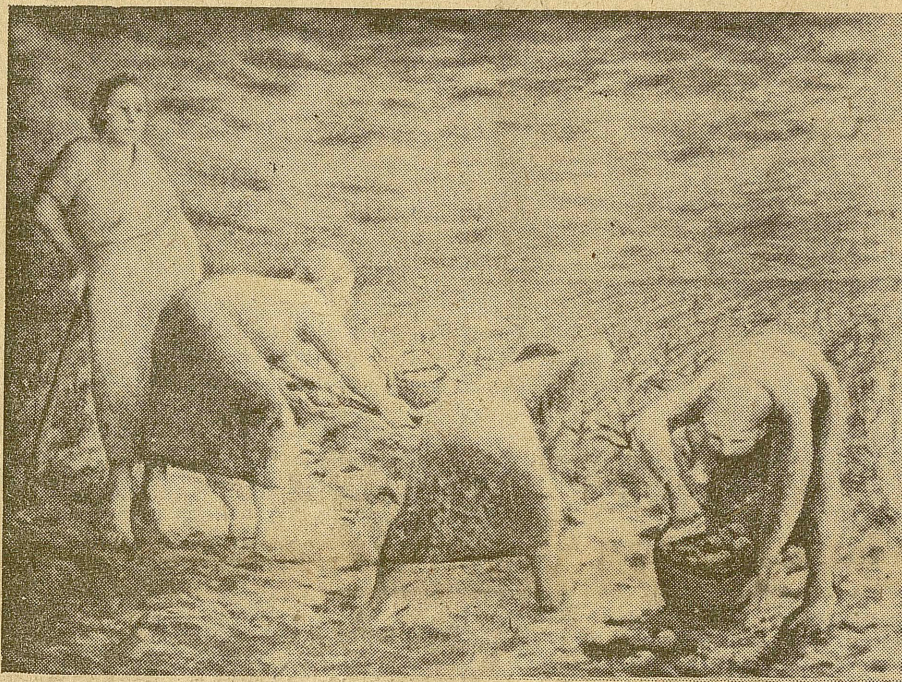
i literatura ulegają w tym samym czasie podobnym przekształceniom. I tak poezji romantycznej odpowiadała romantyczna muzyka, i romantyczna plastyka, a poszukiwania formalne na terenie sztuki w ostatnim dwudziestolecu widoczne były zarówno w twórczości Szymanowskiego — muzyka, Przybosa — poety, czy St. Ig. Witkiewicza — malarza. Ewolucja ta nie postępuje całkiem równolegle, i niekiedy jedna z tych sztuk wyprzedza drugą, służąc pozostałym jako wzór. Współpraca ta podkreślona jest przez fakt, że literatura świadomie szuka inspiracji w innych dziedzinach sztuki i próbuje się do nich zbliżyć. W okresie, gdy poezja pragnie wyrażać indywidualne subtelne, wewnętrzne doznania, ma ona skłonność by wzorować się na muzyce; tak było w okresie symbolizmu (francuski poeta Verla'ne wskazywał na muzykę jako na rodzaj sztuki do którego powinny zmierzać wszystkie inne), modernizmu (kult Szopena), u współczesnych poetów (Iwaszkiewicz-Szymanowski). Znowu w okresie realizmu, literatura orientuje się raczej na malarstwo; tak było w dwóch wielkich epokach realizmu: francuscy naturaliści Zola i bracia Goncourtowie inspirowali się współczesnym malarstwem impresjonistycznym do tego stopnia, że

wych dróg. Bo aktualny temat, palące zagadnienie współczesne unicestwia u „młodych” literacka maniera z przedwzrośniętych czasów”.

ANALIZA OBRAZÓW MIERZEJEWSKIEGO

Właśnie twórczość Mierzejewskiego możemy uważać za przykład przezwyciężenia dawnych przyzwyczajeń artystycznych, i dlatego — za przykład, który może być powtórzony także w dziedzinie literatury.

Zastanówmy się, jakiego rodzaju tradycje odziedziczył młody artysta. Ojcem jego był wybitny malarz polski, Jacek Mierzejewski, i wpływ stylu ojcowskiego widać na pierwszych dziełach syna. Jaki to był wpływ? Kierunek, do którego zbliżona była twórczość Mierzejewskiego — ojca, nazywano „ekspresjonizmem”. Prąd ten był gwałtowną reakcją na „naturalizm” i „impresjonizm”; te ostatnie kierunki postawiły sobie za cel dawać beznamietną, bezosobistą, obiektywną kopię rzeczywistości. „Impresjonizm” doprowadził do wielkiego wysubtelnienia tego kierunku; artysta notował naskórkowe, powierzchowne, przemijające „wrażenia”, („impressio”) starając się możliwie usunąć swoją osobę i swój własny sąd.



opisy natury u Goncourtów są jakby recenzjami z pejzaży współczesnych. Podobnie było na schyłku XVIII stulecia, — np. racjonalista francuski Diderot interesował się żywo malarstwem i był autorem zbioru krytyk „Salons”. I u nas w okresie pozytywizmu współpraca malarzy i pisarzy była bliska jak rzadko (Sygietyński).

Teza podana tutaj — że istnieje regularna, „falowa” niejaką zależność między malarstwem a literaturą, jest bardzo ogólnikowa i trywializuje sprawy sztuki, które są bardziej złożone niż nakreślono w tym miejscu w paru zdaniach; niemniej, w najogólniejszym uproszczeniu, jest chyba słuszną, i pozwoli nam odpowiedzieć na pytanie, jakiej nauki spodziewamy się po analizie wystawy Mierzejewskiego. Pisze S.L. w przedmowie do „Kolumny młodych” w ostatnim numerze „Wsi”: „Obecnie walki literackie toczą się między poetami generacji międzywojennej, najmłodszy przeważnie nawiązują do istniejącej tradycji literackiej. Ten brak aktywności jest zastanawiający. Trzeba dziś, w przeciwnym razie do okresu po wielkiej wojnie, gdy w życie literackie wtargnęło pewne siebie i walczące ze „starzyzną” młode pokolenie, — trzeba chyba, że świecą wyszukując młodych, i zachęcać ich do odwagi, samodzielności, do zrywania ze starymi wzorami i szukania no-

wek dróg. Bo aktualny temat, palące zagadnienie współczesne unicestwia u „młodych” literacka maniera z przedwzrośniętych czasów”.

Taki właśnie wyraz własnych przeżyć „duchowych” próbuje nam dać młody Mierzejewski w obrazie „Popłoch”, w jednym z ówch młodzieńczych utworów, pozostających pod wpływem tradycji na której tle wyrósł. Tematem tego obrazu jest rzekoma „głębia” przeżyć artysty, który próbuje nam je ukazać w formie symbolicznej. Widzimy więc na środku płótna wielkiego białego konia, pędzącego przez pole. Ale nie jest to koń rzeczywisty, taki jakiego moglibyśmy spotkać w życiu. Szyja jego jest niepomiarnie długa, a rozwiata grzywa układa się w zębaty kształt geometryczny; głowa uniesiona do góry i zasty-

gła w tym ruchu przypomina jakby konia drewnianego. Korpus tego fantastycznego zwierzęcia tworzy biały, zygzakowaty, niepokojący kontur biały, przecinający ciemny i w posępnym kolorycie utrzymany obraz na dwie części. Na koniu tkwi jeździec, z twarzą ukrytą w grzywę konia, pogrążony jakby w zapamiętałej kontemplacji, ale nie jest to wszak myśliciel, bo nosi proste ubranie robotnicze, co jeszcze podkreśla dziwaczność obrazu. Pole z tyłu za jeźdźcem jest ciemne, posępne, niebo chmurne, nieożywione żadnym przedmiotem. Tylko w głębi widzimy postaci zastygłe w rozmaitych baletowych gestach pogoni, pracy, tęsknoty — z wyciągniętymi rękami, niepokojące, dziwaczne, niezrozumiałe.

Inny obraz podobnego typu, zatytułowany „Droga”, przedstawia tłum figur osobliwie zdeformowanych: widzimy tam garbusów, bezrękich, beznogiach o kulach. Twarze ich sztywne, zakrzepłe, o grubych rysach, pozbawione wyrazu i wrażliwości. Co oznacza ta odrażająca i zasmucająca widza grupa? Wyraża ona zapewne myśl, że ludzkość jest taką masą nieszczęsnych i niewrażliwych kalek, zagubionych na nieznanej „drodze bez celu”.

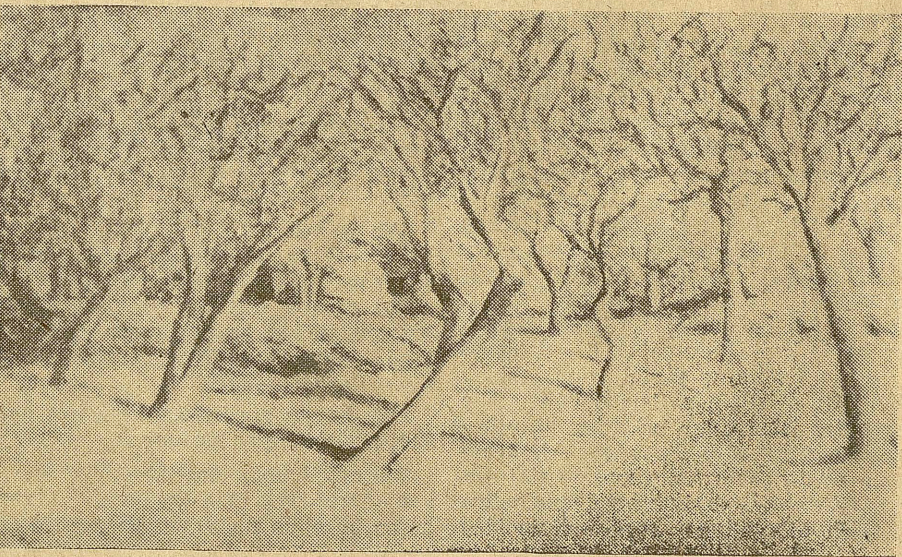
NOWA DROGA

Obrazów takich jest na wystawie zaledwie kilka; widzowie zatrzymują się przed nimi zdumieni, ale bynajmniej nie doznają uczuć, jakie zapewne chciał wywołać malarz. Dlaczego obraz z koniem nazywa się „Popłoch”, kiedy nie widać tam żadnej ucieczki, a przeciwnie, wszystko jest zastygnięte, i raczej przypomina „Dążenie”, „Piec się wzwyż”, czy jakiegokolwiek inne uczucie? W takich naiwnych sformułowaniach wyraża się krytyka dzisiejszego widza, nierzadko reagującego złośliwym uśmiechem, co jest efektem zupełnie już niezamierzonym przez artystę. Ale dobrze się stało, że Mierzejewski zdecydował się pokazać nam te pierwociny; właśnie one pozwalają nam, przez porównanie z późniejszymi jego dziełami, wysnuć wnioski bardzo pedagogiczne i dla naszej, literackiej dziedziny.

Bo większość obrazów, składających wystawę, to już styl zupełnie inny, wypracowany przez artystę pod wpływem przemysłu ostatniego roku. Tu widzimy dziesiątki portretów, przedmiotów, scen pracy i życia ujętych zgoła inaczej. Nowa ideologia artysty jest ideologią REALIZMU. Cały rok poświęcił Mierzejewski na pracę malarską w rodzinnych Piotrowicach, w trudnych warunkach materialnych, pracując jednocześnie na roli; zasób obserwacji z tej dziedziny jest u niego tak obszerny, że możemy go uważać za malarza pewnego wycinka rzeczywistości wiejskiej.

Cóż więc się stało? Czy malarz, porzuciwszy dziwaczne fantasmagorie ekspresjonizmu, powrócił do dawnego kierunku „naturalistycznego”, czy „impresjonistycznego”? Taki nawrót byłby nie tworzeniem nowej sztuki, dostosowanej do współczesnych potrzeb, a po prostu nietwórczym cofnięciem się w tył. U Mierzejewskiego obserwujemy inne, bardzo pouczające zjawisko: wykorzystanie zdobytych ekspresjonizmu i zastosowanie ich w nowym stylu. Dlatego rodzaj który próbuje wypracować Mierzejewski, możemy nazwać NOWYM REALIZMEM.

Oto na przykład obraz, przedstawiający sad. Jest to wierne, rzeczywiste oddanie fragmentu pejzażu typowego dla naszej wsi. I nawet niezbyt ciekawie dobrane. — takiego ot. najzupełniej przeciętnego. Niema tu nawet pagórka, czy większego drzewa, któreby podkreślało malowniczość czy charakterystyczne cechy miejscowości. Oto kawałek płaszczyzny, na której widzimy sześć czy siedem rozrzuconych drzew, najzupełniej zwyczajnych. Podobne tematy malowali i impresjoniści. Jest jednak coś, co nie od razu rzuca się w oczy, a co odróżnia ten obraz zasadniczo od sposobu patrzenia impresjonistycznego. Impresjonista bowiem malowałby tak, jak widać pejzaż w ściśle określonej porze roku, miesiąca i dnia; to byłby „sad w porannek marcowy”, czy „w wieczór zimowy”. Impresjoniści posuwali się do tego, że starali się zachować wrażenie, jakie daje natura w czasie bardzo krótkim i zmiennym, np. w ciągu trzech pierwszych minut wschodu słońca, kiedy wszystkie przedmioty są różowe. Kiedy Mierzejewski oglądał swój sad? Nie potrafimy odpowiedzieć na to pytanie. Może to być zarówno wiosna, jak jesień, a nawet tak dobrze lato czy zima bezśnieżna. Może nawet śnieżna, — bo nie potrafimy odpowiedzieć, czy nieokreślony, mdły kolor drzew nie oznacza w tym malarskim języku śnieg. Jest to zarówno zmierzach jak światłanie. — i oto dochodzimy do sedna: Mierzejewski maluje



realistycznie, ale podkreśla abstrakcyjne elementy rzeczywistości. Jego sąd, będąc niewątpliwie rzeczowym, jest jakby znakiem, symbolem sadu w ogóle.

Inna cecha, odróżniająca go od impresjonistów: eliminacja zbędnych szczegółów. O ile tamci starali się ukazać wszystko, do najdrobniejszych charakterystycznych błysków, o tyle Mierzejewski rysuje tylko tyle, ile jest niezbędne dla rozpoznania przedmiotu. Jego twarze nie mają zmarszczek, przedmioty za drapań, sukna-fald, a mają kontury i bryły. Malując przedmioty rzeczywiste, artysta rozstawia je przecież w sposób niezwykle w przyrodzie, przeciwny prawom ciężenia i perspektywy. Starannie reprodukowano owoce zdają się zsuwać z blatu, i widz ogarnięty jest niepokojącym uczuciem, że spadną za chwilę; poziom krzesła nie jest równoległy do poziom podłogi, a barwy, tęgą i wyrazistą pasy, również podkreślają osobliwość tej rzeczywistości. Przedmioty są ostro obrysowane, obkonturowane; wreszcie rozumiemy zamiar artysty: niezwykle świat rzeczywisty, ukazać jego dziwność, poetyczność; nie wykraczając poza rzeczywistość, nie deformując jej, — jednak — podkreślić jej wartość dla nas, — i przez to z rzeczywistością nas pogodzić. W taki sposób, jak się zdaje, możemy odczytać nowe credo młodego malarza. Niekoniecznie musimy je uważać za osiągnięcie, za zdobycz; raczej trzeba tę postawę traktować jako pomost do nowej, nadchodzącej sztuki. W tej dziedzinie jest Mierzejewski dla nas przykładem postępu: zastosowania do nowej twórczości doświadczeń epoki odchodzącej i tu stał się analogie do naszych chłopskich realistów, poszukujących, po doświadczeniach awan gardy, formizmu, ekspresjonizmu, nowych form realistycznych — ale form innych, niż owe z przed lat pięćdziesięciu.

„KOPACZKI”

Gdy patrzymy na obraz „Kopaczki”, jedno z najudatniejszych dzieł malarza, przychodzi nam na myśl jeszcze zasadnicza refleksja. Oto cztery kobiety, na posępnym i jednostajnym tle pola i nieba, wyrwywające z wysiłkiem ziemniaki z jesiennej grudy. Wszystkie wyliczone wyżej cechy malarstwa Mierzejewskiego widoczne są w tym obrazie, — i jeszcze jedna: podkreślenie wysiłku, brutalności, nawet brzydoty pracy. I to jest dziedzictwem ekspresjonizmu. Ale artysta stosował ten wydzźwięk, jakkolwiek go zachował; nie robi ten obraz tak rozdzierającego wrażenia, jak np. drzeworyty Kulisiewicza o potężnej, agitacyjnej wymowie społecznej. Tu rzeczywistość jest dość prawdziwa, by sztukę określić jako realistyczną, ale też dość „artystyczną”, by ją nazwać stylizatorską. Dlatego wydaje się, że okres nadchodzący nie będzie przypominał naturalistów z ich obsesją ścisłej prawdy, a raczej ich poprzedników, Milleta, Corota i Teodora Rousseau, — malarzy prawdy i pracy ujętej w hiperbole i alegorię.

Zygmunt Kałużyński

UKAZAŁ SIĘ

KALENDARZ

Samopomocy Chłopskiej

na rok 1946

Kalendarz o objętości 320 stron druku
z przedmową Prezydenta K.R.N.
Ob. Bolesława Bierut

zawiera:

**ARTYKUŁY NA TEMATY OGÓLNE
OBSZERNY DZIAŁ ROLNICZY,
BOGATĄ TREŚĆ LITERACKĄ,
SZCZEGÓŁOWY INFORMATOR.**

Specjalne miejsce w Kalendarzu
zajmują sprawy Ziem Odzyskanych

CENA ZŁ 70

Kolporterzy otrzymują 35% rabatu.
Koszt przesyłki ponosi odbiorca.

DO NABYCIA WSZĘDZIE

SPÓŁDZ. WYDAWN. „CZYTELNIK”

Nr 10 (38) „WSI” ZAWIERA:

Jan Aleksander Król — Chłopska szlachet-
czyzna; Józef Andrzej Frasiak — Moja polna
różyczko, Przedwieczorne; Józef Ozga — Michal-
ski — Poemat Nowosielecki; Piotr Stanisław
Ziarnik — Czy regionalizm?; Dr Mieczysław
Kafel — Początki polskiej prasy w zaborze prus-
kim; Antoni Olecha — Nowa Naprawa — stań
się!; Stefan Lichański — Na pograniczu dwu
stylów; Stanisław Pięta — Na wale; Jan
Baranowicz — Dwie burze; Tadeusz Muras —
Jesień pasturzy, Młodość nam natchniona;
Leszek Goliński — Jeden namiot...; Matej; Kle-
mens Olekski — Jan Kochanowski w kaplicy
kościół w Zwoleń; Józef Bieniek — Bimber,
bimberek, bimberek grał noty i ogłoszenia,
6 ilustracji, 8 stron.

STEFAN LICHAŃSKI

PRZYNAJĘ SIĘ...

To, co zamierzam dziś napisać, będzie po-
niekad moją osobistą kompromitacją, mam bo-
wiem zamiar przyznać się do pewnego pod-
stępu, jakiego dopuściłem się całkiem świad-
omie i z wyraźną złą wolą. Chodzi tu o mój
„Projekt powieści o Szeli”, drukowany w 9
nr „WSI”. Sprawa Szeli była tam dla mnie
pretekstem do praktycznego zademonstrowania
aparatu krytyki inspiracyjnej, projektującej.
Wychodziłem tu z następującego założenia:
istnieje temat, który mnie interesuje, chciałbym
go widzieć zrealizowanym w jakiejś dobrej
powieści; sam takiej powieści napisać nie po-
trafię, ale dla czegoż nie miałbym tego tematu
zapropionować ludzom trudniącym się zawo-
dowo powieściopisarstwem?

MANIFESTUJMY!

Zrobiłem u Związku Zawodowego Literatów
Polskich zamówienie i teraz będę czekał, jak
się ten szanowny Związek z zamówienia wy-
wiąże. Zignoruje je powiadacie? Ja myślę to
samo. Ale pomyślcie, co by było, gdyby tak
z 50.000 ludzi czytających książki ogłosiło we
wszelkich czasopismach, jak również na spe-
cjalnie w tym celu zwołanych zebraniach pu-
blicznych, że projekt mój akceptują, całym
sercem popierają i że nieukazanie się w prze-
ciągu roku dobrej powieści na podany prze-
ze mnie temat będą uważali za afront ze strony
Związku Zawodowego Literatów i jawne lekce-
ważenie potrzeb czytelnika.

Co by wtedy było? Z całą pewnością moż-
na powiedzieć, że ja chodząc po ulicach
Łodzi szczęśliwy i dumny, dopóki wynajęci
przez miejscowych powieściopisarzy skryto-
bójcy nie zarzęliby mnie w jakiejś ciemnej
ulicy. Ale to jest sprawa zupełnie prywatna.
Ważniejsze, jaka byłaby literacka reakcja pi-
sarzy na taką masową demonstrację krytyki
inspirującej. Nie chcę ryzykować prorocztw, ale
z całą pewnością twierdzą, że takie wystąpienie

Głosy pisarzy

Uwagi nad uwagami

Ogłoszony w „Odrodzeniu” z powodu pla-
gatu Rudnickiej artykuł J. Przybosa za-
wiera kilka luźnych uwag o losach prymityw-
nej twórczości oraz zapowiada powstanie war-
tościowej, chłopskiej poezji artystycznej w na-
stępnym pokoleniu. Sprawom tym warto po-
święcić nieco uwagi.

Jak w poezji „uczonej” (termin zapożyczo-
ny) tak również w ludowej bywają okresy
wzlotów, nasilenia; upadku. Klechdy, bajki
satyry wiejskie układane były przez ludzi od-
znaczających się zamiłowaniem do twórczości
artystycznej i zawsze jakimś talentem.
Czas niepisanej poezji na wsł najmniej da-
wały okazji do naśladowania poetów „uczo-
nych” choćby dlatego, że bazar nie umiał
czytać a i słuchać recytacji nie miał gdzie.
Poezje z tego okresu (piosenki) mogły mieć
charakter samorodnego płodu, prymitywu nie-
skażonego wpływami miasta i literatury.

Odkąd pewna część chłopów posiadała szt-
kę czytania i pisania, nie łatwo wiejskiemu
poezie ustrzec się wpływu.

Warto jednak zauważyć, że chodzi tu głów-
nie o formę nie zaś o treść poezji. Po dzień
dzisiejszy bowiem poezja ludowa z nje ludowa
wzajemnie na siebie zachodziła, szczerząc się
zupłennie widocznymi pokrewieństwami. Poez-
je Karpinińskiego, Lenartowicza, Konopnickiej,
Mickiewicza (ballady) wzorowane były na pie-
śniach ludowych. Któż udowodni, że w tych
utworach nie ujawnia się poraz pierwszy lu-
dowa poezja, w formie jedynie nosząca ślady
biadłującego lub sielankowego patrzenia autora
na życie chłopów? Jeśli chłopci umieli wtedy
tylko śpiewać i bąkać, niepodobna by wystąpił
z dojrzałą artystycznie literaturą.

Następny okres cechuje naśladownictwo
formy już ze strony poetów ludowych. Sta-
ło się to dlatego, że pieśni śpiewane, gadki
i żarty oblekają się w pismo. To też chociaż
najpospolitszą do dziś w powszechniejszej,
powiedzmy: miernej — twórczości poetyckiej
na wsł nie przestaje być strofa kalwaryjska
o nucie dziadowskiej, poważniejsi poeci lu-
dowi stosują formalne zdobycze tych, których
zdolali poznać, przeczytać. Nie widzę przeto
powodu do wyrokowania na tej podstawie,
czy ludowa poezja ma szansę, czy je traci, je-
śli powtarza formalnie Konopnicką, lub Kar-
pińskiego. Nie sama przecież forma decyduje
o możliwościach, ani tym więcej o wartości
poezji.

W miarę rozpowszechniania się radia, tek-
stów miejskich melodii itp. twórczość ludowa
pozwornie przycicha. Śpiewanie „Na wójtowej
roli” itp. pospolitej, prawie nie wzrusza,
lecz piosenkarstwo bynajmniej nie zamiera.
I dziś pieśni się rodzą nawet nie wzorowane
na przyswojonych tekstach, ale po dawnemu
same. Jedną warunków życiowych tak bardzo się
zmieniły, że nie wszystkie pieśni są tradycyj-
ne tematycznie. Sieroce, pogrzebowe, miłosne,
bandyckie, kawalerskie, czy żniwne, i niewia-

Autorzy i czytelnicy

zmieniłoby poważnie stosunki między artystą
a odbiorcą jego dzieł: zmniejszyłoby dystans,
wzmocniłoby wzajemne kontakty, zadzierzgnę-
łoby nowe porozumienie i rozpało nowe kon-
flikty. I dlatego uważam, że gra warta jest
świeczki.

Oczywiście, nader mocne wrażenie wywar-
łoby na pisarzach, gdyby tak pewnego dnia
przed dom literatów na ulicy Bandurskiego
przybył wielotysięczny pochód młodych transpa-
renty z napisami: „Żądamy powieści o Szeli”,
„Piszcie o wójcie Pyrzy”, „Czekamy na u-
twory o reformie rolnej” itp. Obawiam się
jednak, że milicja zaprotestowałaby przeciw-
ko takiej manifestacji. Ale żadna milicja nie
może przeciwdziałać temu, aby jak najlicz-
niej napływały odpowiedzi na nasz konkurs-
ankietę: „Jakiej powieści chce dzisiejsza
wieś”? Jest to demonstracja mniej efektowna
niż ta, której projekt podałem wyżej, ale i ona
może mieć pewne praktyczne następstwa.

KTO JEST KRYTYKIEM?

Bo zważmy: nie ma pisarza, który napraw-
dę byłby zupełnie obojętny na sądy krytyki o
nim. Ale coż to jest krytyka? Krytykami je-
steśmy wszyscy. Kiedy panna Kazia mówi do
panny Jadzi: „Czytałam wczoraj „Trędowatą”.
Śliczne. Cały wieczór płakałam”, — wy-
powiada sąd krytyczny. Jest to recenzja, którą
ze względu na jej lapidarność można postawić
za wzór wielu gadatliwym krytykom. Są tu
wszystkie elementy „prawdziwej” recenzji:
zreferowanie omawianej książki (w danym wy-
padku wystarcza samo wymienienie tytułu,
gdyż treść tej sentymentalnej bzdury jest pow-
szecznie znana), zawartościowanie („śliczne”)
wraz z uzasadnieniem („cały wieczór płaka-
łam”), co należy rozumieć: śliczne — bo
wzruszające. Te same elementy musiałyby się
powtórzyć w recenzji z „Trędowatej”, gdyby
taką recenzję pisali nawet prof. Kleiner czy
Artur Sandauer. Oczywiście wartościowałoby
oni brechtę p. Mniszek grubo inaczej i swój

sąd poparliby argumentacją bardzo misterną
i uczoną, ale sam schemat recenzji byłoby taki
sam jak u panny Kazi.

ROZRÓŻNIENIA

Różnice leżą w czym innym. Sąd panny Kazi
jest krytyką naiwną, prostą spowiedzią z do-
znań emocjonalnych przeżytych podczas lek-
tury pewnego utworu. Inaczej wypadnie sąd
krytyka literackiego, który reprezentując pew-
ną określoną ideologię artystyczną będzie z jej
stanowiska wartościował przeczytaną książkę.
Sąd ten będzie już rozbudowany daleko sze-
rzej i umotywowany daleko poważniej. Krytyk
jednak jest zazwyczaj współuczestnikiem ja-
kiegoś ugrupowania literackiego i dlatego
skłonny jest bronić interesów bliskiej sobie
ideologii artystycznej nawet w sposób daleki
od rzeczowości i obiektywizmu. Wreszcie
krytyka naukowa przyjmująca za punkt wyj-
ścia dla siebie tylko takie poglądy, które ze
stanowiska współczesnej wiedzy można uznać
za dostatecznie uzasadnione. Krytyk-nauko-
wiec szuka kryteriów bardziej obiektywnych
niż „gust”, „dobry smak”, czy „racja stanu”
jakieś grupki literackiej, stara się nie wy-
powiadać sądów nieumotywowanych dostatecz-
nie i panować nad swoimi emocjonalnymi od-
ruchami sympatii, czy antypatii.

To wszystko, co powiedzieliśmy wyżej od-
nośnie krytyki wartościującej, da się odnieść
i do krytyki nazwanej przez nas inspirującej.
Jeżeli panna Kazia zwraca się do kierownic-
ki wypożyczalni książek z prośbą: „Może mi
pani poszuka coś lekkiego”, to aczkolwiek zda-
nie to odnosi się do książek już napisanych,
jest w nim zawarta ogólna pochwała literatu-
ry „lekkiej” (Mniszkówna, Zarzycka, Kamil
Norden) i pogarda dla wszelkiego „nudziar-
stwa” (Balzak, Dickens, Tolstoj, Prus, Orzesz-
kówna). Tkwi w tym zdaniu pogląd, że literaci
powinni pisać „leko” — a więc projekt, po-
stulat dla pisarzy. Podobnie jak naiwna kry-
tyka czytelnicka, może w dziedzinie pracy in-
spiratorskiej działać także krytyka literacka
i krytyka naukowa.

GŁOS LUDU — ...

Nie traktuję tego trójpodziału w sposób „za-
sadniczy”, chodziło mi w tym wypadku tylko
o scharakteryzowanie postaw **zdecydowanie**
odmiennych, między którymi może istnieć mnó-
stwo faz przejściowych. Uwagę chcę zwrócić
na sprawę inną: każda z wymienionych przeze
mnie postaw spełnia swoją rolę i każda ma
doniosłe znaczenie z punktu widzenia kulturo-
loga i socjologa.

Opinia czytelnika, choćby naiwna, choćby
banalna — nie może być lekceważona, zwła-
szcza gdy pewien rodzaj naiwności czy pewna
odmiana banału występują nagminnie. Każda
tego rodzaju wypowiedź jest dokumentem so-
cjologicznym, ułatwiającym zorientowanie się
w poziomie umysłowym i typie życia psychicz-
nego tego środowiska, z którego pochodzi
wypowiadający się.

Gdyby z odpowiedzi na nasz konkurs wy-
nikało, że Oddział Wiejski ZZLP powinien
przerwać druk tomów poezji Kubisza, Frasi-
ka i Pięta, a zająć się zbiorową edycją
„dzieł” Zarzyckiej, byłoby to równie ważne
i pouczające (choć mniej przyjemne) jak poja-
wienie się projektów na dzieła mogące być
odpowiednikami „Pana Tadeusza”, „Farao-
na” czy „Nad Niemnem”. Każda wypowiedź,
choćby równie naiwna, jak podawane przeze
mnie powyżej wypowiedzi panny Kazi, ma
znaczenie, conajmniej orientujące, Trzeba zaś
uwzględnić i to, że niekoniecznie każdy czy-
telnik nie umiejący swoich poglądów należycie
podbudować naukowo musi pleść takie bania-
luki jak głupawa panna Kazia. Wypowiedź
naiwna — to po prostu wypowiedź niepopar-
ta rozumowymi argumentami, ale z tego nie
wynika jeszcze, że musi ona być „musowo”
nierozumna.

DIALOG CZY DWA MONOLOGI

O odpowiedzi pisarza na tzw. zamówienie
społeczne decyduje dotąd intuicja lub (bardzo
rzadko) na własną rękę podejmowana praca
nad poznaniem środowiska, dla którego za-
mierz się pisać. Ale i środowisko może prze-
mówić, może wysunąć swoje postulaty i ży-
czenia. Zbiorowość jest także krytykiem, tylko
że krytyk ten dotychczas swoje porachunki z
pisarzami załatwiał milczącym plebiscytem po-
pularności lub niepopularności. Trzeba go za-
chęcić do mówienia. Będzie to z korzyścią dla
obu stron (tzn. pisarzy i czytelników) a także
i dla niektórych obserwatorów z ubocza.

OSTATNIE WYZNANIE

Artykuł niniejszy zacząłem od pewnego wy-
znania, pozwólcie więc, że i skończę go też
wyznaniem. Przyznam się otwarcie po co pi-
sałem zarówno „Projekt powieści o Szeli” jak
i ten szkic, którego lekturę właśnie kończycie:
chodziło mi po prostu o to, by sprowokować
was, drodzy Czytelnicy, do nadsyłania jak naj-
liczniejszych odpowiedzi na nasz konkurs: „Ja-
kiej powieści chce dzisiejsza wieś”.

Jednym słowem: znowu eksperyment z za-
kresu krytyki inspirującej.

E. Marzec.

Kto jest chłopem w Wielkopolsce?

(Na marginesie dyskusji — „kto jest chłopem?”)

Na szpaltach ostatnich nr. „Wsi” toczy się ciekawa, niemal pasjonująca polemika — „kto jest chłopem”. Ponieważ głosy te pochodziły spoza Wielkopolski, chciałbym i z tego właśnie terenu dorzucić „trzy grosze”. Bodźca do skreślenia poniższych uwag dodał mi mój sąsiad, gospodarz kilkudziesięciomorgowy, który przychodził niekiedy do mnie na wieczorne pogawędki. Człowiek to już niemłody, czytany, zwiedził kawał świata w latach kawalerskich i podczas pierwszej wojny światowej i ma w wielu sprawach swój oryginalny sąd.

Onegdaj zastał mnie w trakcie lektury ostatniego numeru „Wsi”. Nawiąsałem dodając, że wypożyczam mu do czytania ten tygodnik i ręczę głową za to, że czyta go od deski do deski. Odpowiedziałem na jego „Pochwalony” i prosiłem, by zajął miejsce. Skoro to zrobił, zapytałem go obojętnie:

— Słuchajcie, sąsiedzie! Powiedzieć mi kto to jest chłop?

Popatrzył na mnie z niedowierzaniem.

— Chce mnie pan kierownik wziąć na kawał, co?

Zaoponowałem.

— Bynajmniej! Sami czytacie „Wies” i wiecie o tym, że felietonik Barchanowski wywołał żywy oddźwięk wśród czytelników „Wsi” i że redakcja zamieściła w tej kwestii kilka ciekawych odpowiedzi.

— Czytałem te listy — przyznał — ale nie wiem dlaczego nie zastanowiłem się nad nimi głębiej. Wiem tylko jedno, że u nas w Wielkopolsce słowo to ma odmienne znaczenie.

— No to może mi wyjaśnić, sąsiedzie, kogo u nas nazywa się chłopem?

— A czy pan tego nie wie? — Uśmiechnął się.

— Niestety, chociaż sam pochodzę z rodziców wywodzących się ze wsi, nie umiałbym dokładnie sprecyzować definicji: kto u nas jest chłopem, a kto nim nie jest. Leszczyński naprzykład — o patrzeć, pisze tu we „Wsi”, że chłop to rolnik, a więc człowiek „z ziemią związanym”, ktoś dla kogo warsztatem pracy jest ugor wiejski.

— Otóż to! — zawołał żywo mój sąsiad. Poza Wielkopolską (tak mi się wydaje) — słowem „chłop” oznacza się *wieśniaka-rolnika*. (Pan byłby tylko *wieśniakiem*, bo na ziemi nie gospodaruje!). A u nas zasadniczo chłop to mężczyzna, to osobnik płci męskiej, bez względu na to, jaki w życiu uprawia proceder. Przy tym jednak musi to być koniecznie typ człowieka krzepkiego, wyrosłego, szerokiego w barach. W przeciwnym razie nie jest to chłop, a chłopiec. Bo proszę pana, u nas w Wielkopolsce słowo chłop to cecha męska dodatnia, zaś chłopiek to mizerota. Chyba i pan musiał to już zauważyć u naszych dzieci, że obojętnie jakie zajmuje stanowisko, każdego mężczyznę, który pojawi się na podwórku nazywają chłopem. Mama, tata! Jakich chłopów przyjechał! Bardzo rzadko zaś i tylko wtedy, gdy są lepiej wychowane mówią „pan”. U nas chłopem jest każdy prócz kieszka!

— Istotnie! Macie rację, sąsiedzie! — Pamiętam, kiedy jeszcze przed wojną zawitał raz pewnego do szkoły inspektor i to samo, chodem, dziećmi oznajmiły mi, że „jakiś chłop przyjechał”.

— Tak, proszę pana! Bo u nas powtarzam, chłop to ten, co nosi portki (jestem trochę nieścisły, bo dzisiaj nawet na wsi widać nie wiasty w spodniach), tak jak każda osoba nosząca kiecki, czy suknie, czy futro nawet jest... kobieta! Wyraz *chłopka* np. jest u nas w ogóle nieznanym.

— No to czym w takim razie jesteście wy i wasi sąsiedzi?

— My? Ano, poprostu *gospodarzami*.

— Więc ten Antek z końca wsi mający parę morgów ziemi, kulawego konia, również jest gospodarzem?

— Gdzie indziej w Polsce mówiono by, że to *chatupnik*, u nas i on jest psim śwędem — „gospodarzem”. Bo proszę pana, przyjęło się u nas nazywać każdego, kto na roli pracuje i z niej się utrzymuje, gospodarzem. A samo słowo *gospodarz*, wzięło się chyba z *gospodarstw* nielada, jakich gdzie indziej w Polsce u wieśniaków nie znaleźć. Weźmy i to jeszcze pod uwagę: w naszym powiatowym parotysiecznym miasteczku mamy również rolników, chociaż są mieszczechami. Powiedz że pan takiemu, że chłop! Obrazi się i tyle. Natomiast nie będzie miał nic przeciw temu, jeśli go

pan nazwie np. morowy chłop, czy nawet byczy chłop. Ale zwyczajnie „chłop” jest nie do przyjęcia. Dopiero teraz w nowej Polsce lansuje się i u nas owo „chłop”, mające oznaczać człowieka pracującego na roli i z tą rolą ściśle związanego. Ale uważam, że „takiego chłopca” przyniosła na naszą wieś *polityka*.

— Jak się zorientowałem z dyskusji we „Wsi” słowa *chłop* używa się dziś w Polsce na oznaczenie nie tylko „rolnika” i „gospodarza”. Pamiętam, jak rok temu na Zjeździe Samopomocy Chłopskiej premier użył w swoim przemówieniu takiej definicji — Związek Samopomocy Chłopskiej, to Zw. Rolników — na co mu gorąco zaprzeczono, że nie tylko rolników, że to poprostu — „Związek Chłopów”.

Spróbujemy tę naszą rozmowę przesłać do druku „Wsi”. Zobaczymy, co z tego wyniknie.

Może wypowiedzą się z terenu Wielkopolski jeszcze inni i wówczas dowiemy się, kto ma rację.

— Proszę pana! Przysłowie powiada: „uderz w stół, a nożyce się odezwą”. No, ale na mnie pora do... *kobiety!*

W tej chwili weszła do pokoju moja żona i na odchodnym powiedział do niej:

— Widać i pani ciągnie do swego... *chłopa!* Dobranoc państwu! Acha, jutro pomówię z Dąbkim, aby wam krowę sprzedał, to sprawiedliwy *gospodarz*.

P. S. Czytelnicy „Wsi” (ilu was jest?) z Wielkopolski! Bierzcie się za pióra i piszcie! Bo (mówię to w sekrecie!) trochę mi „głupio” że o nas nie we „Wsi” nie słychać! Przecież i „my nie som od macochy”.

A. F. Kırlo - Nowaczyk
Żórawiniec, pow. Kępno

Towarzystwo Uniwersytetów Ludowych

Poniżej podajemy oficjalny komunikat Zarządu Głównego Towarzystwa Uniwersytetów Ludowych o zjeździe delegatów wojewódzkich TUL-u. *Problematyka rozwoju i pracy tej zaistniałej instytucji „Wies” zajmowała się już wielokrotnie. W jednym z najbliższych numerów naszego pisma znajdą czytelnicy szczegółowe omówienie uchwał powziętych na Zjeździe.*

W dniu 1 marca br. odbyła się w Warszawie konferencja Del. Wojewódzkich Towarzystwa Uniwersytetów Ludowych Rzeczypospolitej Polskiej, poświęcona sprawozdaniom z prac organizacyjnych w zakresie akcji uniwersytetów ludowych na terenie Polski i omówieniu wytycznych dalszej działalności; w tym kierunku. Czynne są obecnie 32 uniwersytety ludowe, a organizowanych jest mniej więcej ta sama ilość. Delegaci podkreślali ciężkie warunki materialne personelu pedagogicznego oraz internatów uniwersytetów ludowych i zobowiązali Zarząd TUL-u RP. do możliwie szybkiego uregulowania podstaw gospodarczych tych placówek w porozumieniu z władzami państwowymi.

W ciągu następnych dwu dni, a więc 2 i 3 marca obradowała Rada Wychowawcza TUL-u RP.

Wygłoszone zostały referaty na temat: „Stan akcji uniwersytetów ludowych w chwili obecnej” — M. Zadrozny, „Zadania Towarzystwa Uniwersytetów Ludowych RP.” — F. Popławski.

„Dotychczasowe prace uniwersytetów ludowych a potrzeby społeczno - kulturalne wsi” — K. Maj, oraz

„Wytyczne pracy wychowawczej uniwersytetów ludowych” — Wł. Radwan.

Do Prezydium Rady Wychowawczej zostali wybrani:

Józef Niecko — Prezes, Zygmunt Załeski — V-prezes, Dr Stanisław Cieślak — V-prezes, Józef Ciota — Sekretarz, Zofia Solarzowa — Sekretarz.

W wyniku obrad powzięte zostały następujące uchwały:

1. Rada Wychowawcza TUL-u RP rozważała podstawowe zadania wychowawcze uniwersytetów ludowych oraz ich stosunek do potrzeb społecznych. Ruch ludowy wchodzi w nową fazę: na czoło jego zadań wysuwa się nie walka o społeczne wyzwolenie chłopów, lecz praca nad pełną realizacją w życiu wsi i narodu ideałów ruchu ludowego.

W pracy wychowawczej uniwersytetów ludowych winniśmy przez odpowiednią tematykę programów i odpowiednią atmosferę wychowawczą przygotowywać młode pokolenie wsi do nowych potrzeb.

W dzisiejszych czasach szczególnie ważne jest kształtowanie postawy duchowej, przygotowującej młodzież do walki z wstecznictwem i prądami totalitarnymi.

Winniśmy jednak przy tym pamiętać, że zgodnie z założeniami ideowymi naszej pracy wyrażonymi już w statucie TUL-u RP, racją bytu i roli społecznej naszych uniwersytetów ludowych, opartych o tradycję Grundtviga jest spotęgowanie życia duchowego i rozwój osobowości wychowanków.

2. W liczbie aktualnych zadań wychowawczych uniwersytety ludowe winny we współdziałaniu z zorganizowaną młodzieżą wiejską szczególnie nacisk położyć na usuwanie z życia młodzieży ujemnych obyczajowo - moralnych skutków wojny. Oprócz się tu należy o wysokie wartości moralne, wytworzone przez najlepsze elementy młodzieży w tragicznej walce z okupantem.

3. Uniwersytety ludowe w Polsce są wyrazem i częścią składową ruchu wyzwolenczego wsi i winny mieć charakter instytucji społecznych. Władze państwowe popierać winny tę akcję ze względu na jej znaczenie dla kultury ogólnie - narodowej.

4. W dążeniu do pogłębienia pracy uniwersytetów ludowych należy zwrócić szczególnie dużą uwagę na zagadnienie właściwego doboru pracowników uniwersytetów ludowych oraz ich przygotowania i pomocy dla nich w dalszym samokształceniu.

5. Rada Wychowawcza uważa za wskazane zorganizowanie w środowiskach miejskich, zwłaszcza przy szkołach wyższych, ośrodków skupiających ludzi nauki i życia kulturalnego, którzy mogliby być pomocni dla prac uniwersytetów ludowych oraz dla wychowawców uniwersytetów ludowych w ich dalszym kształceniu się i w realizowaniu programu wychowawczego.

Organizacją tych ośrodków zająć się winni przede wszystkim członkowie Rady Wychowawczej na swoich terenach.

6. Dla umożliwienia w przyszłości stworzenia dostatecznie gęstej sieci uniwersytetów ludowych należy zabezpieczyć w każdym powiecie — w związku z wykonaniem dekretu o reformie rolnej — jeden ośrodek z odpowiednim obszarem rolnym — na uniwersytet ludowy.

7. Rada Wychowawcza stwierdza, że nowe uniwersytety ludowe zakładać należy tylko tam, gdzie będą odpowiednie warunki ich rozwoju.

8. Miejsce Towarzystwa Uniwersytetów Ludowych skupiać mają około sprawy poszczególnych uniwersytetów ludowych wszystkie związki z wielkim ruchem odrodzenia, czynnikami oświatowo - wychowawczymi, kulturalnymi, społecznymi, i gospodarczymi z terenu ich działalności, a więc: Koła Młodzieży Wiejskiej, Spółdzielnie, Ogniska ZNP, Koła Samopomocy Chłopskiej, samorząd itd., oraz ludzi współdziałających z tym ruchem.

Na takich podstawach społecznych oparte miejscowe Towarzystwa Uniwers. Lud. będą mogły zapewnić uniwersytetom ludowym odpowiednio trwałe warunki rozwoju.

9. Gospodarstwa rolne przy uniwersytetach ludowych dostarczyć mają pomocy dla internatu uniwersyteckiego, jednak ich prowadzenie nie powinno obciążać kierownictwa pedagogicznego.

10. Pomoc czynników państwowych dla akcji uniwersytetów ludowych powinna znaleźć swój właściwy wyraz w tym, że Ministerstwo Oświaty zapewni pracownikom tych placówek etaty stwarzające im należyte warunki życia, a Ministerstwo Rolnictwa i Reform Rolnych przydzieli ośrodkom uniwersyteckim odpowiednie obszary rolne z zapasu ziemi, uzyskane go w wykonaniu dekretu o reformie rolnej.

Dalszą formą pomocy ze strony władz państwowych winny być subwencje na doskonałe prace uniwersytetów ludowych, kształcenie pracowników, pomoce naukowe, oraz na potrzeby gospodarze.

W odniesieniu do bieżących potrzeb uniwersytetów ludowych Rada Wychowawcza wyraziła opinię, iż koniecznym jest natychmiastowe uregulowanie sprawy świadczeń rzeczowych, gospodarstw rolnych przy tych placówkach.

LIST DO REDAKCJI

Szanowny Redaktorze!

W związku z listem p. Józefa Spytkowskiego zamieszczonym w Nr 8 (36) „Wsi”, proszę o wydrukowanie następującego wyjaśnienia, dotyczącego poranku pisarzy chłopów (zobacz „Wies” Nr 6 (34) p. t.: „Poeta rabacji chłopskiej”):

1. Nieprawda jest jakoby czytana na poranku nowela Pogana p. t.: „Morowa baba” pisana była „czystą polszczyzną”, jak sądzi J. Spytkowski, natomiast prawda jest, że w partiach dialogowych nowela ta zawierała wszystkie cechy gwarowe (wypowiedzi Franki, jej rodziców itd.). Kto zna zresztą dotychczas opublikowane w czasopiśmie nowele Pogana, łatwo może zauważyć, że „czysta polszczyzna” (słowa J. Spytkowskiego), t. zn. językiem literackim, nie są one pisane. Sama tematyka tych nowel, łącznie z „Morowa baba”, narzuca użycie gwary w mniejszym, czy większym stopniu. Język Pogana nabiera właśnie żywości i oryginalności przez ustawiczne sięganie do słownictwa gwarowego, dokładniej mówiąc, do dialektu z okolic Krawkowa. I właśnie te fonetyczne cechy gwarowe noweli „Morowa baba” w recytacji p. Kowalczyka zostały oddane należycie.

2. Co się tyczy wiersza Stanisława Nędzy Kubińca p. t.: „Do braci moich”, nie uważam za stosowne aby ktokolwiek, (obojetnie czy p. Spytkowski, czy p. Kowalczyk), samowolnie pozbawiał wiersz tych jego właściwości, które przede wszystkim u Kubińca stanowią o jego oryginalnym i samorodnym pięknie. Przykro mi o tym wspominać, ponieważ p. Spytkowski jako znawca literatury ludowej zdaje sobie z tego chyba doskonale sprawę.

Twierdzenie p. Spytkowskiego, jakoby w pełnym brzmieniu gwarowym wiersz Kubińca nie mógł być zrozumiany przez słuchacza miejskiego, nie wytrzymuje krytyki: wiersz ten nie zawiera przecież w słownictwie takich wyrazów, których by przeciętny miłośnik odbiorca poezji nie mógł zrozumieć. Co gorsza, czego nie pisałem poprzednio, wiersz Kubińca pozbawiony został w recytacji w kilku miejscach nietylko cech gwarowych, ale i obcięty w ten sposób, że wypadły z niego momenty najbardziej społecznie mocne, a zwłaszcza wspaniała puenta: „nase, prawo, ślebo, ziemi! Nie dajom, biernie sami!”

Ta daleko-sięzna amputacja spowodowała, że ten piękny, dynamiczny wiersz wypadł słabo.

Omyłka co do tytułu wiersza (nie „Drzewie”, tylko „Do braci moich”), która słusznie zauważył p. Spytkowski, w niczym nie zmienia mojego poglądu na kwestię wyrażone powyżej.

Uczciwość dziennikarska każe mi napisać narazie tyle.

Proszę przyjąć wyrazy poważania.

Józef-Andrzej Frąsk.

KSIĄŻKI I CZASOPISMA NADEŚLANE

Jerzy Borejsza — A WIEC WYBORY... — Państwowy Instytut Wydawniczy, Warszawa 1946, str. 23.

ZYCIE LITERACKIE, dwutygodnik, Poznań Nr 3—4, rok II.

POLSKA SKRZYDLATA, luty 1946, rok II Nr 2 (9).

ZYCIE SZKOŁY, miesięcznik poświęcony organizacji wychowania, nauczania, Toruń 1946, rok I, Nr 1.

OŚWIATA ROLNICZA, miesięcznik, Styczeń, rok I, Nr 1 Warszawa.

SPÓŁDZIELNIA WYDAWNICZA „CZYTELNIK”

W ramach serii

BIBLIOTEKA SPOŁECZNO-POLITYCZNA

ukazało się nowe wydawnictwo

Jerzy Kirchmayer:

Geneza powstania warszawskiego

Cena zł 20,—

Dotychczas z serii tej ukazały się:

Ehrlich S.: Strategia zwycięstwa . . . 12,—
Grosz W.: Na drogach powrotu . . . 15,—
Horak A.: Wojna polsko-niemiecka 1939 12,—
Litauer S.: Zmierzch „Londynu” . . . 15,—
Oranowski Z.: W oczach Londynu . . . 10,—
—oOo—

Do nabycia we wszystkich księgarniach.

Prenumerata „Wsi” wynosi:

zł 25 miesięcznie; zł 75 kwartalnie; zł 150 półrocznie.

Prenumeratę przyjmują:

W Łodzi:

Redakcja tyg. „Wies”, Łódź, Piotrkowska 96, tel. 100-98;

Dział prenumerat „Czytelnika” ul. Piotrkowska 62, tel. 180-74.

Księgarnia „Czytelnika” ul. Piotrkowska 96, tel. 126-04.

Księgarnia „Czytelnika” ul. Piotrkowska 147, tel. 126-65.

Na prowincji:

Wszystkie agencje pocztowe na konto PKO Oddz. w Łodzi Nr 815 — Kołpnaż „Czytelnika”, z zaznaczeniem: na „Wies”

REDAKTOR NACZELNY: Jan Aleksander Król. — KOMITET REDAKCYJNY: Kałużyński Zygmunt, Morton Józef, Ozga-Michalski Józef, Olcha Antoni, Pięta Stanisław
KOMITET TERENOWY: Frąsk Andrzej, Nędza-Kubińiec Stanisław.

REDAKCJA: Łódź, Piotrkowska 96, tel. 1-00-98

Redakcja rękopisów nie zwraca.

Wydawca: Wydział Wydawniczy Z. S. Chł. w Spółdz. wydawniczej „Czytelnik”.

CENY OGŁOSZEŃ: kolumna zł 60.000, 1/2 kolumny zł 30.000, 1/4 kolumny 15.000, 1/8 kolumny 8.000 zł, 1/16 kolumny zł 5.000. Drobne ogłoszenia 25 zł. za 1 mm na 1 szpalcie. Ogłoszenia przyjmuje redakcja tygodn. „Wies” Łódź, Piotrkowska 96, I p., telefon 1-00-98.

D-012016

Drukarnia Nr 4, Spółdzielnia Wydawnicza „Czytelnik”, Łódź, Żwirki 2.